



Laura MacDonald



*Musisz
komuś zaufać*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdyby Kate Chapman przyszła tego dnia do przychodni na czas, na pewno przyjrzałaby się uważniej niezbyt eleganckiemu mężczyźnie, który drzemał w kącie zatłoczonej poczekalni. Traf jednak chciał, że się spóźniła i w pośpiechu właściwie nie zwróciła na niego uwagi.

- Już jestem, Claire! - zawołała do rejestratorki. - Daj mi parę minut, a potem przyślij pierwszego pacjenta.

- Dobrze, pani doktor - odparła Claire i dodała głośniejszym głosem: - Pani doktor, ktoś chciałby z panią porozmawiać!

- Nie teraz, Claire. Jak skończę...

Spośród wspólników, którzy prowadzili Centrum Fleetwooda, Kate wniosła najmniejszy kapitał, lecz jej gabinet należał do najładniejszych w przychodni. Przestronny i słoneczny, miał wielkie okna, za którymi widać było malownicze lasy i łąki, a w oddali spoza drzew prześwitywało morze.

Kate postawiła walizeczkę lekarską, żakiet powiesiła na wieszaku za drzwiami. Zerknęła w lustro nad umywalką i westchnęła na widok rozwianych wiatrem włosów. Naprędce poprawiła fryzurę, a potem usiadła przy biurku, przed stosem kart pacjentów. Ledwie zorientowała się, że pierwsza należy do Harry'ego Turnera, rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę!

Do gabinetu weszła córka pacjenta.

- Helen! Domyśliłam się, że przyjdiesz sama.

- Dziękuję. To już, niestety, nie te czasy, kiedy tata mógł osobiście stawić się w gabinecie.

- Jak się czuje? - Kate była lekko zaniepokojona wyglądem koleżanki. Rzadko widywała ją tak zmęczoną.

- Nie ma żadnej poprawy, lecz nie spodziewajmy się cudów. Chory na Alzheimera nie ma szans. - Helen westchnęła. - Przykro mi patrzeć, jak on

marnieje w oczach, ale co zrobić? Pewnie nie jestem pierwszą ani ostatnią bezradną córką.

- Zawsze chętnie przyjadę go zbadać - zapewniła Kate.

- Wiem i jestem ci bardzo wdzięczna, ale chwilowo potrzeba mi tylko dalszych recept i paru rad.

- Oczywiście.

Kate odwróciła się do komputera i wywołała listę leków przepisanych panu Turnerowi. Przez parę następnych minut omawiały działanie i dawkowanie środków nasercowych, przeciwdepresyjnych, uspokajających i przeczyszczających. Gdy komputer drukował recepty, Kate powiedziała:

- Pamiętaj, że przyjdzie dzień, kiedy nie dasz sobie rady.

- Nie chcę jeszcze go oddawać do domu opieki, choć wiem, że to nieuchronne. Na razie wystarcza mi pomoc opiekunek, ale ojciec jest nieobliczalny. W zeszłym tygodniu dwukrotnie wzywano mnie z pracy. Wyszedł z domu, a za drugim razem dotarł aż do Cowes i obejrzał paradę jachtów. Bóg jeden wie, jak tam dojechał.

- Przecież to prawdziwy wilk morski! Helen skinęła głową.

- Z drugiej strony, jest bardzo niespokojny, gdy wokół dużo się dzieje. Postanowiłam nie wynajmować w tym roku mieszkania nad stajnią, żeby dzieciaki mu nie hałasowały. Aż się serce kraje. On zawsze kochał życie rodzinne, a teraz nawet nie lubi, kiedy moja siostra przyjeżdża z dziećmi na święta.

- Mówisz, że mieszkanie jest teraz wolne? - spytała Kate.

- Chwilowo, ale obiecałam je córce kuzynki, Siobhan, kiedy skończy kurs pielęgniarstwa.

- Rozumiem.

- Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Przyjeżdża lekarz, który ma zastąpić Paula Wooldridge'a, i mnie przypadło w udziale znaleźć mu lokum. Będzie tu za parę dni, a muszę

przyznać, że jeszcze nic w jego sprawie nie zrobiłam. Przed sezonem to niełatwe zadanie.

- Racja. - Helen zamyśliła się. - Kto to właściwie jest? Kate pokręciła głową.

- Niejaki Jonathan Hammond. Ponoć jest winien Paulowi przysługę, a że ma roczny urlop, zgodził się u nas popracować.

- Przecież już mieliście zastępstwo! Co się stało z Simonem?

- Wrócił do Oksfordu i objął nową posadę. Pracował dla nas tylko trzy miesiące. Szkoda, był taki miły. Wszyscy się do niego przyzwyczailiśmy, a teraz znowu jesteśmy w punkcie wyjścia.

- Skąd się wziął ten doktor Hammond?

- Wiem tylko, że pracował w Afryce. Jak twierdzi Paul, jest teraz na urlopie, bo złapał jakiegoś tropikalnego wirusa i choć już się wyleczył, nie pozwalają mu jeszcze tam wrócić. Dlatego przyjął naszą propozycję.

- Chwileczkę. Siobhan przyjedzie dopiero w maju albo w czerwcu. Wiesz, przedstaw mi tego faceta, kiedy przyjedzie. Może się dogadamy.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? Mam nadzieję, że będzie znośnym lokatorem.

- Na pewno lepszy niż rodzina z dziećmi. - Helen wstała.

- Muszę iść. Kończy się przerwa na lunch.

- Jak tam w izbie przyjęć? - Kate nacisnęła dzwonek, by wezwać następnego pacjenta.

- Jak zawsze. - Przyjaciółka już stała w drzwiach. - Urwanie głowy i wielki harmider, ale ja bez tego żyć nie mogę.

- Chyba się przepracowujesz... - Kate zamilkła, gdyż zadzwonił telefon.

- Pani doktor - oznajmiła Claire - jest tu doktor Hammond.

- Coś podobnego! Spodziewaliśmy się go dopiero pod koniec tygodnia.

Dziękuję, Claire, już idę. - Odłożyła słuchawkę.

- O wilku mowa... - Wyszła z Helen na korytarz. - Jak tak dalej pójdzie, nie skończę pracy przed północą. Ale przynajmniej poznasz swojego potencjalnego lokatora.

- Chętnie, lecz muszę już iść. Przywieź go wieczorem, dobrze? Obejrzy mieszkanie. Tyle że najbliższe parę dni musi gdzieś przeczekać, bo mamy remont.

- Dzięki. Przywiozę go i przy okazji zbadam Harry'ego.

Nowego lekarza nie sposób było nie zauważyć. Stał przy biurku, żartując z dziewczynami z rejestracji. Miał granatowy garnitur, białą koszulę i wzorzysty krawat, krótkie włosy były modnie obcięte, a uśmiech uroczy.

- Skąd wy ich bierzecie? - szepnęła jej na ucho Helen i wyszła z przychodni.

- Doktor Hammond? - Kate podeszła do niego z uśmiechem na twarzy i wyciągniętą ręką.

Odpowiedział jej silnym uściskiem dłoni i jeszcze szerszym uśmiechem, lecz w jego błękitnych oczach pojawiło się lekkie zdumienie.

- Cieszy mnie tak serdeczne powitanie, lecz obawiam się, że zaszło nieporozumienie.

- Słucham? - Kate zmarszczyła brwi i spojrzała z wyrzutem na rejestratorki, które właśnie odbierały telefony. - Nie rozumiem. Powiedziano mi, że przyszedł doktor Hammond.

- Przykro mi, że panią rozczarowałem.

- Nie jest pan doktorem Hammondem?

- Żałuję, ale nie. - Zrobił żalostną minę, choć nie puścił jej ręki, i pochylił się nieznacznie do przodu, jakby miał do przekazania poufne wiadomości. - Gregory Sumpter, z firmy Harland Pharmaceuticals. Czy zechce mi pani poświęcić nieco czasu?

Kate szybko cofnęła dłoń.

- Przykro mi, panie Sumpter, faktycznie zaszła pomyłka. Czy był pan umówiony?

Pokręcił głową i położył rękę na sercu.

- Niestety nie, ale...

- Szkoda, że pan wcześniej nie zadzwonił - oznajmiła szorstko. - Proszę porozmawiać z Claire albo Jackie. Jutro około południa z pewnością ktoś będzie wolny.

Obrzuciła poczekalnię szybkim, badawczym spojrzeniem, ale nikt z pozostałych pacjentów w najmniejszym stopniu nie przypominał lekarza, więc poczekała, aż Claire odłoży słuchawkę.

- Podobno jest tu doktor Hammond?

- Tak, siedzi tam.

A jednak jest w poczekalni...

Tajemniczy doktor Hammond najwyraźniej dawno pograżył się we śnie. Wyciągnął przed siebie długie nogi odziane w wytarte dżinsy i zakończone czarnymi butami, ręce splótł na brzuchu, brodę oparł na piersi, a ciemnozielony kapelusz z szerokim rondem zsunął na twarz.

- Panie doktorze! - zawołała rejestratorka. - Doktorze Hammond!

Przybysz drgnął, odsunął do tyłu kapelusz, otworzył oczy i spojrzał na świat.

- Doktorze Hammond, to jest doktor Chapman - oznajmiła zaaferowana Claire.

Mężczyzna wstał, przeciągnął się, i z miną człowieka, który nigdy nigdzie się nie spieszy, spokojnie podszedł do Kate.

- Cześć, Kate. Jon Hammond.

Kate zaniemówiła. Przedstawiciel firmy Harland Pharmaceuticals, elegancko ubrany i ujmujący w obejściu, łatwo mógł uchodzić za lekarza, ale ten obdartus nie wyglądał nawet na sanitariusza. Jego nieprzyzwoicie długie włosy były splątane, ogorzała twarz zapewne całe życie wystawiona na

działanie promieni słonecznych, a szare oczy zdawały się wpatrywać w jakiś odległy punkt wzrokiem głodnego drapieżnika.

Poczuła uścisk silnej, szorstkiej dłoni. Obrzuciła jego strój szybkim, ale uważnym spojrzeniem. Dżinsy były wystrzępione, a zawinięte rękawy bluzy koloru khaki, włożonej na bawełnianą koszulkę o bliżej nie określonej barwie, odsłaniały muskularne, opalone ramiona. Kate prędko odwróciła wzrok.

- Nie oczekiwaliśmy pana tak wcześnie... - wykrztusiła.

- Wiem. Nie sądziłem, że uda mi się przyjechać już dzisiaj - odrzekł niespiesznie. - Narobiłem kłopotu?

- Nie, oczywiście, że nie. Po prostu przykro mi, że kazano panu czekać. Obawiam się, że przybył pan w dość niedogodnej chwili. - Spojrzała na Claire. - Czy jest Martin?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Jeszcze nie skończył wizyt domowych.

- Rozumiem. Chodzi o Martina Hogana, jednego z lekarzy - zwróciła się do przybysza. - A Richard, to znaczy doktor Fleetwood, pojechał na spotkanie z kierowniczką i jedną z pielęgniarek. Tak więc chwilowo jestem tylko ja...

- Mnie to nie przeszkadza.

Kate z niejasnych przyczyn spuściła wzrok. Kątem oka widziała, jak Gregory Sumpter kończy uzgadniać z Jackie termin spotkania i parska co chwila śmiechem.

- Gdzie mogę zostawić mój sprzęt?

- Sprzęt?

Przybysz wskazał ręką kąt, w którym leżały dwie ogromne płócienne torby oraz druga para wielkich butów.

- Och! Proszę zanieść to na razie do pokoju lekarzy. Bacznie obserwowana przez resztę pacjentów i przez rejestratorki, Kate wskazała Jonathanowi drogę.

- Obawiam się, że chwilowo będę tu musiała pana zostawić - powiedziała, gdy złożył torby pośrodku pokoju i rozejrzał się.

- Przyjmuję właśnie pacjentów. Proszę czuć się jak u siebie w domu i zrobić sobie herbatę albo kawę. W tamtej szafce powinny być herbatniki...

- Paul powiedział, że załatwisz mi kwaterę - przerwał jej.

- Kwaterę? A, tak, oczywiście. Rozmawiałam z moją znajomą, która ma wolne mieszkanie. Jeśli pan chce, możemy pojechać je obejrzyć. Musi pan jednak poczekać, aż skończę dyżur.

- Nie ma problemu. - Rozejrzał się.

- Pan pozwoli, że wrócę do pacjentów...

Wyglądał właśnie przez okno. Lustrował wzrokiem parking i sąsiedni budynek szpitala.

- Jeśli nie masz nic przeciw temu, pójdę z tobą.

Przystanąła z ręką na kłamce, zastanawiając się, o co mu chodzi.

- Nie bardzo rozumiem.

- Będę ci asystował. Masz jakieś zastrzeżenia?

Owszem, miała. Jak ma wpuścić do gabinetu tego dzikusa o swobodnych manierach, który w dodatku bez pozwolenia mówi do niej „ty”? W chwili zaskoczenia trudno jednak znaleźć pretekst i taktownie odmówić. W końcu on jest lekarzem, gościem przychodni, i przybył na pomoc. Zanim zdążyła wymyślić odpowiednią wymówkę, ruszył w kierunku drzwi.

- Czuję się tu jak w klatce. - Wskazał na okna. - Przywykłem do otwartej przestrzeni.

- Tak, oczywiście. Nic dziwnego. - Była bezsilna. Za późno na odmowę. Przybysz wyszedł za nią na korytarz.

Przy nim czuła się mała, delikatna i krucha. Zachodziła w głowę, o czym by można z nim rozmawiać i jak przerwać milczenie, które z jakiejś przyczyny wprawiało ją w zakłopotanie.

- Podobno pracował pan w Afryce. - Dotarli do jej gabinetu. Skinął głową, ale nie podjął tematu. - Chce pan tam wrócić? - Zamknęła drzwi, po czym poprosiła, by usiadł z boku.

- Oczywiście!

- Jak się leczy w Afryce? - Może nie była specjalnie ciekawa, ale o coś musiała spytać.

- Mniej więcej tak samo jak u was. Tyle że gabinet mamy w buszu, a przychodnię w lepiance. Ale pacjenci chyba wszędzie są tacy sami.

- Pewnie mają inne problemy - rzekła i sięgnęła po kolejną kartę.

- Ja bym tak nie powiedział. To też ludzie.

- No, tak, oczywiście. - Te zimne, szare oczy sprawiły, że się zaczerwieniła. Nacisnęła dzwonek. - Skąd pan zna Paula?

- Ze studiów.

- Rozumiem. - Jego lakoniczne odpowiedzi przestały jej przeszkadzać. - Czy był pan już kiedyś na wyspie Wight?

- Nie. - Zdjął kapelusz i rozsiadł się wygodnie na krześle. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Kate zacisnęła usta, zastanawiając się, co pomyśla o nim pacjenci.

- Proszę!

Weszła kobieta po trzydziestce z małym chłopcem.

- A, Janice. Proszę, usiądź. To pani Goodway i jej syn Damien - przedstawiła ich Jonathanowi. Potem odwróciła się do pacjentów i wyjaśniła: - Doktor Hammond chciałby dziś asystować podczas badań. Oczywiście, może pani odmówić...

- Ależ nic nie szkodzi - przerwała jej kobieta. - Już się poznaliśmy, prawda, Jon? - zwróciła się do Jonathanana.

- Naprawdę? - Zaskoczona Kate patrzyła to na pacjentów, to na Jonathanana. - Nie rozumiem...

- W poczekalni - wtrącił chłopiec. - To było super. On opowiadał o Afryce...

- Świetnie. - Kate poczuła nagle irytację, chociaż nie bardzo знаła jej powód. - W czym mogę pomóc?

- Damien ma wysypkę.

Kate natychmiast zauważyła ceglaste, drobne plamki na grzbietach dłoni i pomiędzy palcami chłopaka.

- Nie mam pojęcia, skąd to się wzięło. - Pani Goodway, o zgrozo, kierowała swe uwagi raczej do Jonathana.

- To wygląda na kontaktowe zapalenie skóry. - Kate czuła, że przemawia bardziej oficjalnym tonem niż zwykle. - Czy ostatnio kupiła mu pani coś nowego?

- Jak to: coś nowego? - Janice wreszcie oderwała wzrok od przybysza.

- Może mydło albo płyn do kąpieli?

- Nie....

- Proszek do prania?

- Nie, pani doktor. Stosuję ten sam od lat. Czy mogłaby pani coś mu przepisać? To swędzi, prawda, Damien?

Syn skinął głową.

- Oczywiście, mogę dać mu maść łagodzącą podrażnienie, ale najważniejsze, żebyśmy określili przyczynę. Damien, czy dotykałeś jakichś dziwnych roślin w ogrodzie?

Chłopiec pokręcił głową.

- Nie, pani doktor - odparła Janice. - On w ogrodzie bywa bardzo rzadko. Naprawdę nie mamy pojęcia, co się stało.

- Dobrze, zapiszę maść z kortyzolem, ale proszę ją stosować bardzo ostrożnie. - Kate umyła ręce, po czym wróciła na swoje miejsce i czując na sobie badawcze spojrzenie Jonathana, wypisała receptę na komputerze.

- Maść należy stosować przez tydzień - powiedziała, gdy komputer zaczął drukować receptę - ale proszę pomyśleć, co mogło wywołać zapalenie. To ważne, bo jeśli nie usuniemy przyczyny, wysypka nie zniknie.

Miała wręczyć receptę Janice, kiedy Jonathan powiedział:

- Damien, pokaż doktor Chapman swój samolot.

- Dobrze. - Chłopak sięgnął do torby matki i wyjął model bombowca Vulcan.

- Piękny - pochwaliła Kate.

- Zrobił go własnoręcznie - dodał Jonathan.

- Wspaniale.

- Tak, ale nie o to chodzi.

- A o co? - Kate zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co knuje jej towarzysz.

- Modelarstwo jest nowym hobby Damiena. Kate zamarła w bezruchu.

- Sądzi pan...

Skinął głową jakby ociężale, nie ruszając się z krzesła. Ogarnięta bezpodstawnym gniewem, miała ochotę go uderzyć.

- Rozpuszczalniki i kleje, które stosuje się w modelarstwie, są bardzo silnymi alergenami.

- I podejrzewa pan, że to może być przyczyną wysypki? - Janice wpatrywała się w Jonathana z szacunkiem należnym wielkiemu podróżnikowi czy naukowcowi, który dokonał właśnie wielkiego odkrycia.

- Niewykluczone.

- Z pewnością warto wziąć to pod uwagę - skwitowała Kate chłodno. - Nie chciałabym jednak pozbawiać chłopaka takiej wielkiej frajdy, bo uczulenie może też mieć inne przyczyny.

- Nie będę żałował, jeśli mi każecie przestać - oświadczył Damien. - I tak już mi się znudziło.

- Proszę przyjść, jeżeli maść nie pomoże. - Kate uznała wizytę za skończoną.

Gdy zamknęła drzwi za matką z dzieckiem, Jonathan się nie odezwał. Natomiast kiedy usiadła przy biurku, pochylił się do przodu i zerknął na leżącą na wierzchu kartę.

- Kto następny? Robert Neville?

- Doktorze Hammond! Nie mam nic przeciw temu, żeby asystował mi pan podczas przyjęć, choć muszę przyznać, że nie czuję się w tej sytuacji najlepiej. Byłabym jednak bardzo wdzięczna, gdyby powstrzymał się pan od uwag.

- Och! - Najwyraźniej nie czuł się winny. - A jednak ma pani zastrzeżenia.

- Bo nie jestem do tego przyzwyczajona.

- Nie przyzwyczajona do drugiej opinii? Ja cały czas pracowałem w tym systemie.

- Naprawdę? Tutaj tego nie stosujemy.

- Nie pojmuję dlaczego. - Pokręcił głową w zdumieniu. - Gdybym się nie wtrącił, nie wiedziałaby pani o kleju, prawda? A ja wiedziałem, bo chłopak pokazał mi samolot w poczekalni.

- To wcale nie musiał być klej. Uśmiechnął się promiennie.

- Stawiam sto do jednego.

- Może i ma pan rację, doktorze Hammond...

- Jon.

- Co takiego?

- Mam na imię Jon. Wszyscy tak do mnie mówią. Nie doktor Hammond, nie Jonathan, tylko Jon, dobrze?

- Dobrze. W porządku, chociaż...

- Tak? - Uniósł brwi.

- Zazwyczaj nie zachęcamy pacjentów, żeby zwracali się do nas po imieniu.

- Można i tak.

- Ale pani Goodway przedstawił się pan jako... Jon? Uśmiechnął się szeroko, splótł ręce na karku, rozsiadł się jeszcze wygodniej, odchylając krzesło do tyłu.
- Tak. Osobiście nie widzę w tym nic zdrożnego, ale jeżeli tutaj macie inne metody, to...
- Tak, doktorze Hammond, tutaj mamy inne metody.
- Jon - poprawił cicho.
- Dobrze. - Zaczerwieniła się, czując na sobie jego spokojny wzrok. - Jon.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Pan Neville miał wypadek w Nowy Rok - oznajmiła Kate, przedstawivszy panów sobie. - Trafił do szpitala z urazami szyi i ramion oraz dekompresją. Wykonano torakostomię, ale wciąż występuje ból oraz sztywnienie karku i ramion. Prawda, panie Neville?

Pacjent skinął głową.

- Czy pomógł panu ibuprofen?
- Tak - odparł pacjent. - Ból nie jest już taki dotkliwy.
- To dobrze.
- Ale...
- Dolega panu coś jeszcze?
- Cierpię na niestrawność. Myślałem, że to normalne po operacji, ale teraz nie jestem już taki pewien.
- Kiedy występują dolegliwości? - Kate szybko przejrzała kartę leczenia szpitalnego.
- Mniej więcej godzinę po jedzeniu.
- A kiedy bierze pan ibuprofen?
- Och, zawsze w czasie posiłku. Tak mi pani kazała... - Pacjent nagle zaniepokoił się. - Czy to przez tabletki?

- Czasem tak się zdarza.
- A to dopiero! Więc mam przestać je brać?
- Właśnie chciałam to zaproponować.

W tej chwili Jonathan poruszył się na krześle, a jego obecność po raz kolejny ją zdenerwowała. Tym razem komentarze zachował dla siebie, ale jego milczenie było o wiele gorsze, zupełnie jakby sprawdzał jej umiejętności.

- Ale to skuteczny lek! - protestował pan Neville. - Jeżeli przestanę go zażywać, to pewnie znów będzie mnie bolało. Ten wypadek był bardzo poważny. - Spojrzał na Jona, jakby oczekiwał od niego zrozumienia.

- Rozumiem. - Nutka współczucia w głosie Jona zachęcała do dalszych zwierzeń.

- Samochód poszedł na złom.

- Naprawdę? Z czym się pan zderzył?

- Ja się zderzyłem?! Nic podobnego. To on się ze mną zderzył! - Pan Neville kipiał oburzeniem.

- Pewnie pędził jak szalowiec - zauważył Jon.

- Zgadza się...

- Do rzeczy. - Kate czuła się w obowiązku interweniować. - Przestanie pan brać ibuprofen i...

- Więc co to było? - Jon ani myślał siedzieć cicho.

- Przeklęta cysterna z mlekiem!

- No nie!

- Proszę nie brać już ibuprofenu - powtórzyła Kate. - Zapiszę panu rozpuszczalny lek na bazie paracetamolu. - Nie śmiała spojrzeć na Jona. - Powinien złagodzić ból - ciągnęła spiesźnie - nie drażniąc żołądka. Jeżeli nie zadziała i dalej będzie miał pan bóle, pomyślimy o fizykoterapii.

Szybko wypisała receptę. Kiedy komputer ją drukował, pan Neville dalej relacjonował Jonowi, co przydarzyło mu się w Nowy Rok. Wreszcie Kate wręczyła pacjentowi wydruk.

- Dziękuję. Bardzo pani dziękuję, pani doktor. Panu również dziękuję. -
Skinął głową w stronę nowego lekarza. - Za rozmowę. Zawsze uważałem, że co
dwie głowy to nie jedna.

Po wyjściu pacjenta Jon zachichotał cicho.

- Widzę, że cię to bawi - zauważyła Kate już spokojniej.

- Cudze nieszczęście to nic śmiesznego, ale jak już mówiliśmy, ludzie
wszędzie mają takie same kłopoty. Tylko realia są troszkę inne. Ten biedak
przypomnił mi pacjenta, który przyszedł kiedyś do naszej stacji w buszu. Też
zderzył się, tyle że z bawołem.

Kate uśmiechnęła się mimo woli.

- Gdzie pracujesz?

- Jeździłem po całej Afryce. Byłem w Etiopii, Biafrze, Nigerii, a ostatnio
w Tanzanii.

- Najwyraźniej odpowiada ci ten tryb życia.

- Powiedziałbym, że trzeba by czegoś naprawdę szczególnego, żeby mnie
zatrzymać w Anglii. - Rozejrzał się po gabinecie. Leki za szkłem, szafa, regał,
parawan w jasny wzorek; wszystko zostało poddane dokładnym oględzinom. -
Nieźle wyposażenie.

Kate wzruszyła ramionami.

- Podoba mi się tu.

- Chyba jesteś szefową?

- Niestety, nie. Wzruszył ramionami.

- Świat się zmienia.

- Tutaj nie za bardzo. Główny wspólnik ledwo przekroczył czterdziestkę.
Nie sądzę, żeby zamierzał przejść na emeryturę, zwłaszcza że ma dwoje dzieci
na utrzymaniu i nikogo do pomocy.

- Richard Fleetwood? Jest rozwiedziony?

- Nie, jego żona zmarła na białaczkę trzy lata temu.

- To okropne.

- Tak.

- Kto jeszcze tu pracuje? Oprócz Paula.

- Martin Hogan. Też wspomniały ojciec. Ma trójkę dzieci.

- A żonę?

- I to jaką! - Kate pozwoliła sobie na przelotny uśmiech. - Patsy to kobieta, o której nie da się zapomnieć. W swoim czasie na pewno ją poznasz, tak jak zresztą wszystkich.

- Kim jest twoja znajoma? Ta, która ma mieszkanie do wynajęcia?

- Och, to Helen. Helen Turner.

- Czy ona też tu pracuje?

- Nie, w szpitalu obok.

- W Shalbrooke?

- Tak, jest szefową pielęgniarek w izbie przyjęć.

- Pewnie w Nowy Rok miała przyjemność opatrywać siedzenie pana Neville'a.

Kate roześmiała się.

- Na pewno. Ale dość już pogaduszek. Opowiem ci wszystko później, a teraz naprawdę muszę przyjąć tych ludzi.

Nie do wiary, ale nastrój się poprawił, chwile napięcia minęły, a Kate przebadala wszystkich pacjentów bez niemiłych incydentów. Zrobiło się już późno, gdy przedstawiała Jona Martinowi Hoganowi, a potem Richardowi Fleetwoodowi i Elizabeth French, kierownicze przychodni.

- Dobrze, że jesteś - powitał go Richard. - Paul mówił, że przeszedłeś jakąś tropikalną chorobę. Powiedz, jeżeli będzie ci ciężko.

- Chyba dam sobie radę.

- Nie przemęczaj się. Z wirusami nie ma żartów. Co to właściwie było?

- Nikt nie wie. Jedna z tych chorób bez nazwy. Ale masz rację, była groźna. Nie chciałbym drugi raz przez to przechodzić.

Nieco później załadowali torby Jona do bagażnika samochodu Kate i ruszyli w drogę.

- Masz rację, Richard Fleetwood jest młody jak na szefa - zauważył Jon, gdy wyjechali z Shalbrooke na główną drogę.

- Czy to on założył przychodnię?

- Nie. - Kate pokręciła głową. - Jego ojciec, Leo. Jest już po siedemdziesiątce. Oczywiście dawno przeszedł na emeryturę. Spędza czas na grze w golfa i wyprawach jachtem.

- Czy pomaga wam w pracy?

- Richard robi, co może, żeby nie mieszał się w nasze sprawy - odrzekła Kate z kwaśną miną.

- Rozumiem.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Kate poczuła na sobie jego przenikliwe spojrzenie i zerknęła na niego z wyrzutem.

- Teraz wiem wszystko o wszystkich, oprócz ciebie.

- O mnie?

- Tak, o sobie nie powiedziałaś nic. Wzruszyła ramionami.

- A co konkretnie chcesz wiedzieć?

- No, na początek podałaś mi stan cywilny wszystkich lekarzy.

- Nie jestem zamężna.

- Co do tego nie miałem wątpliwości.

Zabrakło jej słów. Ton jego głosu był w jakiś sposób obraźliwy.

- Nie wiedziałam, że to takie oczywiste.

- Może nie dla wszystkich.

- A dla ciebie? Zauważyłeś? - zapytała z przekąsem.

- Tak, zauważyłem, a raczej domyśliłem się. Przełknęła ślinę i więcej nie odrywała wzroku od drogi. Milczał, więc zapytała:

- A ty?

- Ja? - nie spieszył się z odpowiedzią. - Co ja?

- Jesteś żonaty?

- Nie. - I znów zapadła cisza. - Zresztą, która by mnie chciała?

- Faktycznie. - Skrzywiła się. - Pewnie żadna by się nie skusiła.

Nie odpowiedział, za to odezwało się jej sumienie. Chyba troszkę przesadziła.

- To znaczy większości kobiet trudno byłoby zaakceptować... twój styl życia.

- Nie wysilaj się. Wiem, o co ci chodzi.

Przygryzła wargi, ale zrezygnowała z dalszych wyjaśnień w obawie, że jeszcze pogorszy sytuację.

- To prawda, żona nie pozwoliłaby mi podróżować po świecie, ale muszę też przyznać, że nie znalazłem jeszcze tej jedynej, z którą chciałbym spędzić resztę życia.

W jego głosie brzmiała nieco szydercza nutka i Kate postanowiła nie podtrzymywać rozmowy. W skupieniu prowadziła samochód, podczas gdy Jon podziwiał krajobraz.

- Co to za zamek?

- Carisbrooke. - Na tle bladego nieba zarysowywały się potężne mury obronne z szarego kamienia. - Tu więziono króla Karola I przed egzekucją.

- Efektowny. Normañski, prawda?

Kate skinęła głową, a gdy zjechali w dół i minęli drogowskaz z nazwą miejscowości, w której mieszkała Helen, zagadnęła:

- Gdzie mieszkasz? Bo pewnie masz dom w Anglii, prawda?

- Właściwie nie. Po co utrzymywać mieszkanie, skoro tak niewiele czasu spędzam w kraju? Moja matka mieszka koło Newbury, jeśli o to chodzi.

- To tam dochodziłeś do siebie?

- Nie. Byłem u przyjaciół, którzy pracowali ze mną w Afryce. Mieszkają w Norfolk.

Kate nabrała już przekonania, że Jon należy do ludzi, którzy nigdzie nie zagrzeją miejsca. Bez korzeni, bez rodziny, związków czy zobowiązań. Wspomniał o matce, lecz najwyraźniej nie miał zamiaru rozwijać tematu. Może pokłócił się z nią albo stracił kontakt?

Domysły jednak musiała odłożyć na później, gdyż dotarli do Gatcombe i podjechali pod dom, który od dawien dawna stanowił gniazdo rodzinne Turnerów.

Powoli zapadał zmierzch. Powitał ich zapach palonego drewna oraz radosne szczekanie leciwego setera irlandzkiego, który przydreptał do samochodu na spotkanie gości.

- Witaj, Chester, staruszk. - Kate pochyliła się, żeby poklepać go po siwiejącym pysku i miękkich, jedwabistych uszach.

Dom był stary, zbudowany z miejscowego kamienia. Kiedyś wchodził w skład pobliskiego folwarku i stanowił mieszkanie stangreta. Spadzisty, kryty płytkami łupkowymi dach wznosił się wysoko, a po ścianach piał się bluszcz, zwieszając nad oknami i wejściem. Obok domu stała dawna powozownia i stajnia, lecz nie było już tam ani siana, ani koni, a na strychu od paru lat mieścił się wygodny apartament gościnny.

- Cześć, Kate. Czekaliśmy na was. - W progu pojawiła się Helen, już bez fartucha pielęgniarki, w grubym swetrze i długiej, kwiecistej spódnicy.

Ubrana w kostium Kate poczuła się skrepowana, widząc czarującą swobodę Helen, a do tego naturalność Jona, który chyba nawet na dworze królewskim nie uznałby za stosowne zachować się z większą kurtuazją.

- Przykro mi, że się spóźniliśmy. Miałam dziś masę pacjentów. Helen, to jest Jonathan Hammond. Jon, to Helen Turner.

- Witaj! - Potrząsnął wyciągniętą ręką gospodyni, a Kate, ciekawa reakcji koleżanki, zauważyła jej zdumione spojrzenie. Bez wątpienia Helen oczekiwała eleganckiego Gregory'ego Sumptera, którego poznała w rejestracji, a nie tego

dziwnego typu. - Chyba spotkaliśmy się już w przychodni? - zapytał, zanim Kate miała okazję cokolwiek dodać.

- Tak, byłam dziś w przychodni, ale nie sądzę, żebym pana widziała.

- Może ty mnie nie widziałaś, ale ja widziałem ciebie. Ładną dziewczynę zawsze zauważę.

Helen roześmiała się, jak zwykle swobodnie i serdecznie, w przeciwieństwie do Kate, która znów uznała, że bez przyczyny popada w rozdrażnienie. Co ten człowiek w sobie ma?

- Miło mi pana poznać, doktorze Hammond. - Helen wprowadziła ich do domu. - Witamy na wyspie Wight. Kate mówiła, że zastąpi pan Paula Wooldridge'a. Mam nadzieję, że będzie się panu u nas podobało. Jesteśmy społecznością dość zamkniętą, ale lubimy gości.

Kate nagle poczuła się zażenowana. Ona sama powinna to wszystko powiedzieć. Czy powitała go należycie? Czy opowiedziała o wyspie? Odstraszona wyglądem i nonszalancją przybysza, kompletnie zapomniała o dobrych manierach. Czowała się pokonana. Tymczasem gość przeszedł z Helen na ty i ruszyli do salonu.

Harry Turner siedział w skórzanym fotelu i oglądał telewizję. Nie obejrzał się, gdy weszli do pokoju.

- Tato, mamy gości. Przyjechała Kate, nasza pani doktor, i jeszcze ktoś.

Harry odwrócił się ze zdumieniem w oczach. Kate podeszła bliżej, żeby znaleźć się w jego polu widzenia.

- Dzień dobry, Harry. Jak się pan czuje?

- Margaret Thatcher? - spytał i usiłował wstać.

- Nie, tato - odparła Helen łagodnie. - To Kate Chapman.

- A to co za jeden? - Harry rzucił niezbyt przyjazne spojrzenie Jonowi, który pozostał w progu, i zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, krzyknął: - Nie wiem, jak masz czelność pokazywać swoją twarz w tym domu po tym, co wyrządziłeś naszej rodzinie!

- Tato - upomniała go delikatnie Helen. - To nie Ralph, to doktor Hammond, nowy lekarz w Centrum. Przyjechał z Afryki, prawda?

Jon skinął głową.

- Z Afryki? A mówiłem, że tam źle się dzieje. Mandela znowu w więzieniu?

Helen bezsilnie rozłożyła ręce.

- Przykro mi - wyszeptała.

- Nie przejmuj się - pocieszała ją Kate. - Wiecie co? Pogadam z nim, a wy w tym czasie obejrzyjcie mieszkanie.

- Zgoda. - Helen przyjęła propozycję z wyraźną ulgą.

Skinęła na Jona i wyszli z salonu, zostawiając Kate sam na sam z pacjentem.

Harry znów zaczął wpatrywać się w telewizor i najwyraźniej zapomniał o obecności gościa. Cicho, by nie rozdrażnić chorego, Kate usiadła na kanapie obok fotela. Harry był jej długoletnim pacjentem i z wielkim smutkiem obserwowała u niego postępy choroby Alzheimera. To już tylko cień dawnego Harry'ego.

Trudno uwierzyć, że siedzący przed nią mężczyzna był kiedyś wziętym prawnikiem, niezrównanym żeglarzem i zapalonym tenisistą, który młody wygląd i dobrą kondycję zachował nadspodziewanie długo. Dopiero niedawno przygarbił się, a dotknięty chorobą stracił nie tylko wysportowaną sylwetkę ale i, jak się wydawało, werwę, która niegdyś go nie opuszczała.

Córka pielęgnowała go najlepiej jak umiała, lecz Kate obawiała się, że dzień, w którym Harry będzie potrzebował nieustannej opieki, nadejdzie szybciej, niż Helen się spodziewa.

Gdy tak mu się przyglądała, rozmyślając nad kolejami losu, nagle odwrócił głowę i spojrzał na nią bystrym wzrokiem.

- O, Kate! Skąd się tu wzięłaś? Jak miło cię widzieć!

To ten dawny Harry, ten, którego wszyscy znali i kochali.

- Dzień dobry, Harry - powiedziała łagodnie.
- Czy Helen wie, że tu jesteś?
- Tak. Pokazuje mieszkanie nad stajniami mojemu koledze z pracy. Może wynajmie je na jakiś czas.

- Znakomity pomysł. Wiesz, że Siobhan przyjedzie?

- Tak, Harry. Helen mi mówiła.

- To córka mojej siostrzenicy. Uczy się w szkole pielęgniarstwa. Bardzo się cieszę, że wyszła na ludzi, bo takie było z niej chucherko, kiedy się urodziła... Nie dawali jej szans na przeżycie.

- No proszę. - Kate zamruwała oczami. Chwile przeblysków u Harry'ego było jeszcze trudniej znieść niż nawroty choroby. - Jak się czujesz, Harry?

- Nie mogę narzekać, Kate. Nie wszyscy mają tyle szczęścia co ja.

- Dużo jesz?

- Jeśli mam być szczerzy, teraz nawet najlepsze specjały straciły swój smak, podobnie jak wiele innych rzeczy.

- Jakich? - spytała z uśmiechem.

Patrzył na nią dobrą chwilę, a gdy w oddali rozległy się kroki Helen i Jona, pokręcił lekko głową.

- Wiesz co? Jak pragnę zdrowia, nie pamiętam.

Pochyliła się i lekko pogładziła jego dłoń, po czym odwróciła się w stronę powracającej gospodyni.

Helen rzuciła ojcu szybkie, niespokojne spojrzenie, zupełnie jakby zastanawiała się, co przykrego powiedział Kate albo o czym będzie mówił za chwilę.

- Jonowi się tu podoba.

- Świetnie. - Kate wstała. - Kiedy może się wprowadzić?

- Podejrzewam, że malowanie potrwa jeszcze parę dni, pewnie do końca tygodnia. Co zrobisz tymczasem?

- Chyba zabiorę go do pubu w Shalbrooke. Lily na pewno znajdzie dla niego pokój. - Zwróciła się do Jona: - Odpowiada ci to?

- Świetnie. Nie jestem wybredny. Spać można wszędzie.

- Nie jest aż tak źle - odparła Kate szorstko, zdając sobie sprawę, że Helen patrzy na nich z niejakim zaskoczeniem. - Myślę, że powinniśmy już jechać.

Dzięki za wszystko, Helen. Do widzenia, Harry.

Staruszek jednak znów oglądał telewizję.

- Tato! - Helen usiłowała wyrwać go z odrętwienia. - Kate wychodzi.

- Kto? - Harry oderwał wzrok od telewizora, ale nie ożywił się na widok gości.

- Kate.

- Co ona tu robi? - Harry wyglądał na oburzonego. - Powinna być w Westminster. Dziś obraduje parlament.

Wyszli, zostawiając Harry'ego w jego własnym świecie.

- Straszna choroba - westchnął Jon, gdy odjechali sprzed Coach House.

Kate skinęła głową.

- Przykro mi na to patrzeć, bo znałam go wcześniej.

- To twoi przyjaciele?

- Tak. Z Helen chodziłyśmy razem do szkoły, jeszcze w latach siedemdziesiątych.

- Ona też nie wyszła za mąż?

- Nie. - Z jakiejś przyczyny Kate miała ochotę służyć dalszymi informacjami. - Żyję nadzieją, że wreszcie dogadają się z Richardem Fleetwoodem.

- Więc oni się lubią? - Był wyraźnie zainteresowany.

- Mają się ku sobie...

- To ten wdowiec?

- Tak. Jego żona, Diana, też była naszą przyjaciółką. Prawdę powiedziawszy, nasza trójka, to znaczy Diane, Helen i ja, była kiedyś bardzo zgrana.

- Nie żartowałyście, mówiąc, że to zamknięta społeczność?

- Na wyspie to nieuniknione. - Kate natychmiast przeszła do defensywy.

Nie odpowiedział. Dopiero po chwili przerwał milczenie:

- A gdzie ty mieszkasz?

- W Cowes. Mam mieszkanie z widokiem na morze.

- Ach! - Był to jedyny komentarz. Niepewna, co właściwie znaczy ten okrzyk, Kate poczuła się trochę nieswojo.

W drodze powrotnej do Shalbrooke nie rozmawiali wiele. Kate zaparkowała na placyku przed pubem.

- Czy można tu coś zjeść?

Kate znów poczuła się winna. On musi być głodny, a od rana jakoś nikt go niczym nie poczęstował.

- Tutejsza kuchnia to chluba całej wyspy.

- Umieram z głodu. - Wyszli. - Ty też nic nie jadłaś. Zjemy razem?

- No... - Szukała wymówki. - Naprawdę powinnam już jechać do domu.

- Nie przesadzaj. Pozwolisz, żebym przesiedział w samotności mój pierwszy wieczór w tych stronach? Gdzie się podziała wasza słynna wyspiarska gościnność?

Pomimo jego lekkiego tonu Kate oblała się rumieńcem.

- Zgoda, ale nie mogę zostać długo.

Jakież było jej zaskoczenie, gdy okazało się, że w pubie panuje tłok, zjawisko niespotykane w środku tygodnia, i to w marcu. Zamówili piwo i kurczaka w cieście z pieczarkami. Jon poszedł do jedyne wolnego stolika w najdalszym kącie sali, zaś Kate zagadnęła właścicielkę o pokoje i ku swemu wielkiemu przerażeniu poznała przyczynę zamieszania.

- Wszystkie pokoje są zajęte - oznajmiła, wróciwszy do Jona. - Podobno ci wszyscy ludzie to kolarze. Zjechali tu na wyścig dookoła wyspy, który odbędzie się w weekend.

- To jeszcze nie tragedia. - Pociągnął łyk piwa i westchnął z zadowoleniem.

- Nie rozumiesz. To samo pewnie będzie w każdym hotelu, a... - spojrzała na zegarek - robi się późno.

Jon przyjął tę wiadomość ze stoickim spokojem. Skończył piwo, a gdy przyniesiono posiłek, jadł szybko, jakby od tygodnia nie miał nic w ustach. Czyżby żył o chlebie i wodzie? Przecież mieszkał u znajomych, tak przynajmniej twierdził. Na pewno dobrze go karmili. A nawet jeśli nie, to on na pewno ma trochę grosza. Nie wiadomo, ile zarabiał w Afryce, ale przecież jest lekarzem.

Zmierzyła go wzrokiem: rozczochna, płowa czupryna, szybko ruszające się szczęki, zmietoszona bluza, wystrzępione džinsy.

Czyżby go źle oceniła?

Nagle jedzenie stało się czynnością nad wyraz trudną. Zdumiewające, zważywszy, że kolacja była, jak zawsze u Lily, istną rozkoszą dla podniebienia. A co zrobić z Jonem? Może zadzwonić do Richarda i poprosić, żeby go przenocował? Ale Richard ma akurat gości. Tymczasem Jon skończył jeść, a potem z kolejnym głośnym westchnieniem odłożył sztućce i rozsiadł się wygodnie na krześle.

- No, teraz czuję się jak człowiek. Gotowy na wszystko. - Mrugnął do niej porozumiewawczo.

- To znaczy na co? - Zmarszczyła brwi.

- Na spanie na plaży.

- Na plaży? - Otworzyła szeroko oczy. - O czym ty mówisz?

- Chyba nie mam wyboru. Czy w Cowes jest molo?

- Nie wygłupiaj się.

- Och, jestem do tego przyzwyczajony - oznajmił beztrąsko. - To znaczy do spania pod gołym niebem. W Tanzanii to nic niezwykłego.

- Tylko że jest pewna różnica pomiędzy równikową sawanną a angielską plażą w marcową noc.

- Nonsens - mruknął. - Afrykańskie noce bywają bardzo chłodne.

- Może i tak, ale ja nie mogę na to pozwolić. Co by powiedzieli moi koledzy z pracy, gdyby się dowiedzieli, że nasz gość spał na plaży jak jakiś... włóczęga.

Milczał chwilę, po czym spokojnie patrząc jej w oczy, spytał miękko:

- Więc co proponujesz?

- Żebyś pojechał ze mną do domu - odparła z rozdrażnieniem.

- Z tobą? - Jego oczy nagle stały się okrągłe, ale potem roziskrzyły się radością.

- Tak.

- To znaczy, że w tym apartamencie z widokiem na morze masz pokój do wynajęcia?

Kpił sobie z niej.

- Nie, ale mam dwie sypialnie. - Odsunęła talerz, nie dokończywszy posiłku i wstała.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiłem - oświadczył poważnie. - Nie uwierzyłbym, że po tak krótkiej znajomości zaprosiłabyś mnie do łóżka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Postanowiła zignorować jego uwagę, ale parkując w garażu, czuła się coraz bardziej skrepowana. Mimo panującego mroku czuć było, że morze jest blisko. Lekki powiew bryzy, głuchy szum fal i słony smak w ustach wskazywały, że od wybrzeża dzieli ich tylko parę kroków.

Jon wyciągnął bagaż, po czym rozejrzał się wokół i odrzucił głowę do tyłu, by wciągnąć powietrze w płuca. Tymczasem Kate otworzyła drzwi, weszła na korytarz i zapaliła światło.

- Morze dziś niespokojne - stwierdził Jon.

- To normalne o tej porze roku. Wiosenne przypiływy są bardzo gwałtowne - odparła, prowadząc go na górę. - Moje mieszkanie jest na piętrze - wyjaśniła. - W sumie w bloku jest ich sześć, trzy na parterze i trzy na piętrze.

- Długo tu mieszkasz? - zapytał.

- Pięć lat, odkąd pracuję w przychodni. Gdy się wprowadzałam, budynek akurat oddawano do użytku.

- A gdzie mieszkałaś przedtem?

- W Londynie - odparła.

- Ale czasami chyba wyjeżdżasz ze swojej wyspy, prawda? - I znów ta wesola, kpiąca nutka w jego głosie.

- Czasami to nieuchronne. Są takie rzeczy jak szkolenia czy podróże służbowe - odparła i otworzyła drzwi do mieszkania. - Miałam szczęście, że dostałam się do przychodni - dodała.

- Zostałabyś w Londynie, gdyby cię nie zatrudnili?

- Nie. - Nie spodziewała się, że jej głos zabrzmiał tak szorstko. - Nie chciałabym wrócić do Londynu.

Szybkim krokiem weszła do mieszkania, odstawiła walizeczkę i torebkę. Zasłoniła żaluzjami wielkie okno widokowe, jakby chciała odgrodzić się od nocnego nieba, świateł ulicznych lamp i fal rozbijających się o falochron.

- Postaw tu swoje torby. - Wskazała mu mały pokój. - Łóżko masz pościelone, a łazienka jest tam. Zresztą sam się rozejrzyj. Napijesz się kawy? Skinął głową.

- Chętnie, dzięki.

Nagle odkryła, że nie wytrzymuje jego spojrzenia. Zakłopotana poszła do kuchni i nastawiła wodę.

W chwilę później, gdy parzyła kawę, usłyszała trzask zamykanych drzwi, a potem szum wody płynącej z kranu. Zwykle, codzienne dźwięki, które po prostu oznaczają obecność drugiego człowieka, dla Kate były czymś niesamowitym. Dawno nikt nie gościł w jej mieszkaniu, a jeżeli nawet zdarzyło się, że ktoś do niej przyjeżdżał, z reguły była to kuzynka albo przyjaciółka. Od bardzo dawna nie zapraszała mężczyzn. Prawdę powiedziawszy, od czasów Alistaira nie podejmowała tu nikogo.

Nie, nie wolno o nim teraz myśleć. Tylko bez paniki. Nie trzeba było zapraszać tu Jona, to błąd. Co gorsza, winić może tylko siebie, mogła już w pubie zadzwonić do Richarda albo Martina i wyjaśnić im sytuację. Któryś z kolegów podsunąłby jej rozwiązanie. Przecież nikt nie może wymagać, by przenocowała gościa.

- Mogę w czymś pomóc?

Drgnęła i w okamgnieniu odwróciła się do drzwi, przewracając ręką kartonik z mlekiem. W progu stał Jon.

- Och, nie słyszałam, jak wchodziłeś...

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć. - Cofnął się, najwyraźniej zdumiony jej gwałtowną reakcją.

- Nic się nie stało. - Gorączkowym ruchem podniosła karton i wzięła ścierkę, by wytrzeć rozlane mleko. Gdy skończyła, odwróciła się po tacę, na której ustawiła dzbanek z kawą, dwa kubki, cukier, mleko i talerzyk herbatników.

- Może zaniosę? - zaproponował.

Nie protestowała. Weszła za nim do salonu i opadła na kanapę. Jon postawił tacę na stole, po czym usadowił się w fotelu z plecionym oparciem.

Od razu poczuł się jak u siebie w domu; usiadł wygodnie i rozejrzał się po pokoju, oglądając meble, przedmioty codziennego użytku, wszystko, czym żyła i umilała sobie czas.

Tymczasem ona ochłonęła na tyle, by nalać kawę. Gestem poprosiła gościa, żeby się częstował. Potem westchnęła lekko, objęła palcami kubek i zaczęła pić gorący płyn.

Rozmawiali niewiele. Zastanawiała się, co Jon by sobie pomyślał, gdyby dowiedział się, dlaczego tak gwałtownie poderwała się na dźwięk jego słów. Lecz nie zgadnie, choćby myślał pół życia. A jeśli nawet pozna prawdę, nie uwierzy.

- Jedziesz jutro do przychodni? - spytała w nadziei, że usłyszy odpowiedź przeczącą. Nie miała ochoty na jego towarzystwo w gabinecie.

Na szczęście pokręcił głową.

- Nie. Uzgodniliśmy z Richardem, że pójdę do pracy dopiero w przyszłym tygodniu. Do tego czasu muszę obciąć włosy i kupić odpowiednie ubranie.

Dzięki Bogu! Niechętnym wzrokiem zmierzyła jego sfatygowane dzinsy i dziurawe trampki, które miały pełnić funkcję kapci. Do pewnego stopnia rozumiała swobodę stroju u kogoś, kto właśnie wrócił z buszu, lecz obawiała się, że Jon nie zechce się ucywilizować przed przystąpieniem do pracy.

- Podwiozę cię do centrum handlowego.

- Ale pewnie muszę się postarać o jakiś środek lokomocji?

- W przychodni jest samochód służbowy - powiedziała prędko. -

Korzystał z niego twój poprzednik, Simon Phillips. Przydaje się w nagłych wypadkach. W tej chwili ma go Elizabeth French, bo jej samochód jest akurat w naprawie. Podejrzewam, że Richard po prostu zapomniał cię o tym poinformować, bo oczywiście musisz czymś jeździć nie tylko do przychodni, ale i do pacjentów.

- Skoro już wspomniałaś o wizytach domowych, pomyślałem sobie, że dobrze by było, gdybym przez parę dni ci asystował. Tylko po to, żeby poznać okolicę.

Miała ochotę odmówić. Będzie przeszkadzał! Bała się jednak zaprotestować. Mógłby ją uznać za małosłowną babę. Toteż wstając, powiedziała tylko:

- Muszę iść spać. Zwykle wstaję wcześniej.

Wyglądał na nieco zaskoczonego tak nagłym zakończeniem rozmowy, ale dopił kawę i również się podniósł.

- Chyba dołączę do ciebie. Oczywiście w przenośni.

- Dobrze. Dobranoc - powiedziała sztywno.

- Dobranoc. Kate...?

- Tak?

- Dziękuję za wszystko, co dzisiaj dla mnie zrobiłaś. Przede wszystkim za to, że pozwoliłaś mi tu przenocować. To musi być irytujące, doceniam twoją dobrą wolę.

- Nie ma sprawy - odrzekła. - Na razie nic mnie nie irytuje.

- Ale nie jesteś do tego przyzwyczajona, prawda?

- Do czego? - Zamarła w bezruchu.

- Do tego, że ktoś kręci się po mieszkaniu.

- No, raczej nie...

- Rozumiem cię. Sam w gruncie rzeczy jestem samotnikiem. W miarę możliwości postaram się nie dezorganizować ci życia.

- Dziękuję. Dobranoc... Jon.

- Dobranoc, Kate.

Siedziała na łóżku, zastanawiając się, co ją, u licha, napadło. Pierwszy raz widzi tego człowieka na oczy. W przychodni wyglądał jak przybłąda. Najpierw wprosił się do jej gabinetu, potem zmusił ją do zjedzenia wspólnie kolacji, a na koniec jednym niefrasobliwym zarcikiem wytrącił ją z równowagi. Naprawdę,

powinna mieć więcej rozsądku i nie zapraszać go do swego domu. Jest co prawda lekarzem, ale wykształcenie niczego nie gwarantuje. Alistair był prawnikiem.

Wiedziała, że kiedyś przyjaźnił się z Paulem, ale to stare dzieje. Sam przyznał, że nie widzieli się od lat. Przez ten czas mógł stać się zupełnie innym człowiekiem.

Podobno przebył chorobę wirusową. A jeśli to nie był wirus? Może on w rzeczywistości cierpi na jakąś psychozę i nie panuje nad sobą? Może starannie to wszystko zaplanował, a teraz czeka na sposobną chwilę, by uderzyć...

Uderzyć to właściwe słowo. Coś w jego ruchach nasuwało skojarzenie z wielkim kotem, zwinną, dziką bestią.

Nie mogła usiedzieć w miejscu. Zwykła szczotka do włosów też w razie zagrożenia może posłużyć jako narzędzie obrony. To głupota zapraszać tu obcego, trzeba było się zastanowić. Życie nauczyło ją, że nie wolno brać wszystkiego za dobrą monetę, bo choćby zjedli razem beczkę soli, nie poznają się do końca. W każdym mężczyźnie tkwi jakaś tajemnica, która w niespodziewanych okolicznościach może ujrzeć światło dzienne.

Przeszedł ją dreszcz grozy. Śmiertelny dreszcz, jak mawiała w takich razach jej babka. Wstała, podeszła do drzwi, zamknęła je na klucz i jakby tego było mało, zabarykadowała krzesłem.

Długo nie mogła zasnąć, a gdy wreszcie jej się udało, nie był to sen spokojny. Podobne koszmary prześladowały ją zaraz po powrocie z Londynu, choć ostatnio już nie nękały.

Gdy się obudziła, przez okno wnikły blade promienie słońca. Chwilę leżała bez ruchu, wsłuchując się w szum morza i jakiś inny dźwięk, też związany z wodą. Aha, ktoś jest w łazience. Jon. Budzik pokazywał piątą trzydzieści. Widać w Afryce wstaje się o świcie.

W blasku wschodzącego słońca pierzchły nocne strachy. Wstała, podeszła do okna i odsunąwszy zasłony, wyjrzała na świat. Morze było dziś

spokojniejsze. Spienione fale nie rozbijały się z rykiem o falochron, choć nadal wydawały złowróźbne dźwięki - niczym armia zbierająca siły przed kolejnym szturmem. Spowite mgłą zarysy lądu w oddali zdawały się należeć do innego świata.

Odeszła od okna, otuliła się szlafrokiem i westchnęła głęboko. Odsunęła krzesło, otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. W mieszkaniu panowała cisza. Nie wiedziała, czy Jon jeszcze się kąpie. Drzwi do łazienki były zamknięte, lecz ze środka nie dobiegały żadne dźwięki. Kate podeszła bliżej i zaczęła nasłuchiwać.

- Już wolne. Możesz wejść. - Stał w progu salonu. - Wziąłem wcześniej prysznic, żeby ci nie przeszkadzać.

- Och, rozumiem. - Sytuacja była krepująca. - Dobrze spałeś?

- Tak. A ty?

- Nieźle.

Przyjrzała mu się uważnie. Jego włosy, mokre i gładko zaczesane do tyłu, podkreślały ładny kształt głowy. Znów miał na sobie wystrzępione džinsy, natomiast włożył inną koszulkę, ciemnozieloną, wskutek wielokrotnego prania najwyraźniej za ciasną. Jednak widząc bose nogi gościa, poczuła się tak, jakby miała do czynienia z bezbronną istotą, którą trzeba chronić i otoczyć opieką.

- Muszę już iść. - Odwróciła wzrok. - Zrób sobie herbatę, kawę, grzanki, cokolwiek. - Prędko wśliznęła się do łazienki, zamknęła drzwi i przekręciła klucz.

Gdy weszła potem do salonu, Jon stał przy oknie widokowym z kubkiem herbaty w ręce i patrzył na morze. Na odgłos jej kroków odwrócił się.

- Niesamowity widok - rzekł z wyraźnym zachwytem.

- To dobry punkt. Szczególnie podczas regat.

- Pływasz?

- Owszem. W przychodni mamy do dyspozycji jacht. Ty też żeglujesz?

Pokręcił głową.

- Nie miałem okazji, chociaż korci mnie, żeby spróbować.
- Poproś Richarda, on jest doświadczonym wilkiem morskim.
- Zrobiłem ci grzanekę i zagotowałem wodę, ale nie wiedziałem, czy rano pijesz herbatę, czy kawę.

- Och, dziękuję. Kawę... - Razem poszli do kuchni. Nie miała serca mu wyjaśniać, że nie jada śniadań w domu, tylko później, w przychodni, przeglądając poranną pocztę.

Szklanka soku owocowego i dwa kubki kawy pomogły jej przełknąć grzanekę z marmoladą pomarańczową.

- Zawiozę cię do miasta.

Skinął głową.

- Dzięki, pójdę po zakupy. - Spojrzał na swoje ubranie. - Chyba nie wypada przyjmować pacjentów w tym stroju.

Święta racja, pomyślała. Co uchodzi w tanzańskim buszu, nie przypadłoby do gustu mieszkańcom wyspy, w większości emerytom.

Z uczuciem ulgi pożegnała go w mieście i patrzyła, jak znika w porannym tłumie ciągnącym w stronę sklepów. Wzdychając, pojechała do Shalbrooke, zaparkowała przed przychodnią i podziękowała losowi za samotność, jaką przez chwilę mogła się cieszyć w swoim gabinecie.

Przejrzała już połowę porannej poczty, gdy do gabinetu zajrzała Elizabeth French.

- Cześć, Kate. Wszystko w porządku?

- Chyba tak - westchnęła.

- Co o nim sądzisz?

- O kim? - Doskonale wiedziała, o kogo chodzi.

- O Krokodylu Dundee.

- O kim?!

Elizabeth roześmiała się.

- Dziewczyny z rejestracji go tak przezwały. Muszę przyznać, że trafnie. Nareszcie coś się dzieje.

- Racja.

- Nie wyglądasz na zachwyconą.

- Po prostu nie spodziewałam się, że będę go musiała gościć u siebie.

- U siebie? - Elizabeth zrobiła wielkie oczy. - Co się stało? Richard mówił, że on zamieszka u Helen Turner.

- Tak, ale tam jest malowanie, więc z rozpaczy zgodziłam się przenocować go u siebie.

- Nie mogłaś umieścić go w pubie?

- Próbowałam, ale... to długa historia. W każdym razie trafił do mnie.

- Mam nadzieję, że nie jest dla ciebie ciężarem? - zatroszczyła się Elizabeth. - Bo możemy...

- Nie ma problemu, zwłaszcza że jego mieszkanie będzie gotowe lada dzień.

- No, jeżeli tak... Zaczyna pracę dopiero od przyszłego tygodnia, prawda?

- Tak, ale chce jeździć ze mną do pacjentów, żeby poznać okolicę.

- Całkiem rozsądnie.

Rzeczywiście rozsądnie, przyznała Kate w duchu, gdy Elizabeth poszła do swojego gabinetu. Więc dlaczego w miarę, jak zbliżało się południe, myślała o wizytach domowych z coraz większym strachem? Tak, ze strachem. Nie potrafiła inaczej opisać uczucia, które ogarniało ją na samą myśl o wspólnym badaniu pacjentów. Miała też wrażenie, że uczucie owo ma w sobie coś z radosnego podekscytowania, ale nie rozumiała, czym tu się cieszyć.

Czekał na nią w korytarzu, zabawiając rozmową recepcjonistki. Claire i Jackie, sądząc po ich zachwyconych minach, starały się nie uronić ani słowa. Gdy podeszła bliżej, okazało się, że Jon opowiada o Tanzanii.

- Cześć. Jak mija dzień? - Jego spokojne, szare oczy urzekły łagodnością.

- Nieźle. - Czuła się nieco zakłopotana. - Nadal chcesz jechać na wizyty domowe? - spytała trochę za ostro i Jon lekko zmarszczył brwi.

- Oczywiście.

- Doktor Hammond opowiadał nam o safari - wyjaśniła rozanielona Claire. - Widział to wszystko na własne oczy: stada słoni u wodopoju o świcie, tysiące uciekających flamingów, szarżującego nosorożca i ogromne stada pędzących gnu; zupełnie jak w programach przyrodniczych.

- Naprawdę? - Kate nie okazała entuzjazmu.

- Pani pewnie już to wszystko słyszała - stwierdziła Jackie.

- Przecież on u pani mieszka.

Kate nie dała się zwieść niewinną minką dziewczyny. Spodziewała się, że rejestratorki wezmą ją na języki, gdy się dowiedzą, że przyjęła Jona pod swój dach. Postanowiła jednak zignorować uwagę. Wzięła listę wezwań i karty pacjentów.

Jon pomachał dziewczynom na pożegnanie i ruszył za nią na parking. Był jasny, wiosenny dzień, chłodny wiatr targał żonkilami na trawniku i gonił wstęgę białego puchu po błękitnym niebie. Kate zauważyła, że przybysz narzucił dziś na siebie dzinsową kurtkę.

- Po tylu latach w tropiku pewnie nie służy ci nasz klimat - stwierdziła, otwierając samochód.

- Chyba tak. - Wsiadł do środka. - To nie jest jedyny wstrząs, jaki tu przeżyłem. Weźmy na przykład zapinanie pasów. W Afryce nie ma takiego zwyczaju. Ale do rzeczy. Co mamy dzisiaj?

- Noworodka, chroniczną rozedmę płuc i ostatnie stadium raka. Aha, i w drodze powrotnej muszę wpaść do szpitala, do pacjentki po histerektomii.

- Jak zwykle groch z kapustą.

- A jak jest w buszu? Do czego wzywają was pacjenci?

- Nie mamy wielu wizyt domowych. - Uśmiechnął się szeroko. - Nie bylibyśmy w stanie dojechać do wszystkich wiosek z powodu odległości. Kiedyś zgłosiła się kobieta, która niosła chore dziecko ponad sto kilometrów.

- I co? Uratowaliście je? Pokręcił głową.

- Umarło w drodze; to niestety zdarza się bardzo często. Ale wracając do twojego pytania: co powiesz na poród, chorobę płuc i zgon starego człowieka na jednym dyżurze?

Kate uśmiechnęła się.

- Wygrałeś. Podejrzewam, że masz rację. Wszędzie na świecie ludzie mają te same potrzeby i problemy.

Dziś obyło się bez napięć. Jon nie wtrącał się, nie stawiał diagnoz ani nawet nie przedstawiał swojego punktu widzenia. Wręcz odwrotnie: potrzywał w rękę noworodka, dodał otuchy choremu na płuca i okazał współczucie umierającemu na raka. Zaskakiwał łagodnością i pokorą. Obawy, które dręczyły ją poprzedniej nocy, wydawały się tak bezpodstawne, że teraz nieomal wstydziła się swego braku zaufania. Co do Jona, to w drodze do szpitala uznała, że nawet troszkę go polubiła.

Kobieta, która poprzedniego dnia przeszła histerektomię, wciąż czuła się kiepsko, ale ucieszyła się na widok Kate.

- Dzień dobry, pani doktor. Jak to miło, że przyszła mnie pani odwiedzić - powiedziała.

- Jak się pani czuje, Marjorie?

- Marnie. Odkąd obudziłam się z narkozy, wciąż mam mdłości, a rana boli, zwłaszcza wokół drenu.

- To minie jutro albo pojutrze. Rozmawiałam z chirurgiem, który przeprowadził operację. Powiedział, że miała pani kilka sporych włókniaków, tak jak podejrzewaliśmy. Proszę spojrzeć na to z innej strony: koniec z krwawieniami.

- Wiem. Aż się wierzyć nie chce. - Cierpiała, lecz wyglądała na zadowoloną. Nagle dostrzegła Jona.

- Przepraszam, Marjorie. - Kate już знаła to pytające spojrzenie. Widziała je dziś kilkakrotnie. - To doktor Hammond. Będzie zastępował doktora Wooldridge'a.

Przez chwilę Jon rozmawiał z chorą, a Kate studiowała kartę wiszącą na łóżku. Po paru minutach doszła do wniosku, że jeżeli Marjorie jest podbudowana, to właśnie obecnością Jona, a nie słowami, którymi ona ją pocieszała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zbliżała się pora lunchu i tłum w izbie przyjęć po raz pierwszy tego dnia zaczął rzednąć. Helen Turner spojrzała na przypięty do kieszonki fartucha zegarek i zaczęła się zastanawiać, czy może sobie pozwolić na krótką wyprawę do bufetu, zanim kolejna fala pacjentów zacznie szturmować rejestrację. W tej samej chwili do środka weszli Kate Chapman i Jon Hammond. Co więcej, zmierzali w kierunku bufetu!

Po szybkiej naradzie ze Stephanie Miles, koleżanką z oddziału, Helen pobiegła za Kate i Jonem, którzy siedzieli już przy stoliku. Na widok przyjaciółki Kate gestem zaprosiła ją do towarzystwa. Helen wzięła kanapkę, sałatkę, trochę owoców i herbatę, po czym ruszyła do nich.

- Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? - spytała. - Aż dwoje lekarzy domowych wstąpiło w nasze progi!

Kate roześmiała się.

- Byłam u pacjentki na ginekologii, a ponieważ prawie skończyliśmy wizyty domowe, uznaliśmy, że możemy przy okazji zjeść tu lunch.

- Słusznie - odparła Helen z uśmiechem. Zauważyła już, że Jon zmienił się od wczorajszego wieczoru, kiedy to oglądał mieszkanie nad stajnią, choć

chwilowo trudno byłoby jej wskazać, na czym konkretnie polega ta przemiana. -

Jak ci się mieszka w pubie?

Uśmiechnął się wesoło.

- Tego nie miałem przyjemności sprawdzić. Wiem tylko, że podają tam pyszne kolacje.

- Jak to? - Helen spojrzała na nich zdumiona.

- Nie mieli pokoi. - Jon wzruszył ramionami. - Podobno kolarze mają jakiś wyścig.

- No tak, zapomniałam o tym wyścigu. Więc gdzie się zatrzymałeś?

- W luksusowym apartamencie z widokiem na morze.

- Żartujesz! To kosztuje fortunę. Gdzie?

- Nad brzegiem morza w Cowes - odparł.

- Nad brzegiem? Czyżby...

- Nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru - oznajmiła sztywno Kate. - Późna pora i brak pokoi przesądziły sprawę.

- Zaproponowałem, że przenojuję pod chmurką, ale Kate nie chciała o tym słyszeć.

- Nic dziwnego. Więc co zrobisz dzisiaj i jutro? Podejrzewam, że malowanie potrwa jeszcze ze dwa dni.

- To chyba zależy od mojej gospodyni.

- Możesz zostać. - Kate sprawiała wrażenie urażonej. - Chyba już o tym rozmawialiśmy.

Odpowiedział szerokim uśmiechem i mrugnął znacząco. Na twarzy Kate pojawiły się wypieki.

Helen przyglądała się tej scenie w radosnym zdumieniu. Przyjaciółka dawno nie czerwieniła się na widok mężczyzny, co najmniej od czasu Alistaira Cunninghama. Kate nigdy nie mówiła, dlaczego rozpadł się tamten związek, ale na pewno bardzo cierpiała. Miło byłoby znów widzieć ją zakochaną.

Już wiedziała, co się zmieniło wyglądzie Jona. Włosy. Były równo przycięte, umyte i uczesane.

- Ależ to Andrew Merrick! - zawołała nagle Kate i Helen obejrzała się przez ramię. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że koleżanka celowo zmieniała temat.

- Tak, to on. Nasz znajomy z izby przyjęć - wyjaśniła Jonowi.

- Słyszałaś te plotki? - zapytała Kate.

- Jeżeli o nim i Georginie, to nie plotki, tylko prawda.

- Zaintrygowałyście mnie. Powiedzcie coś więcej. - Jon wyprostował się na krześle.

- Ta historia istotnie jest nietypowa - przyznała Helen. - Andrew i Georgina Merrick byli małżeństwem. Rozwiedli się parę lat temu. Ona niedawno wróciła do pracy w izbie przyjęć i oboje stwierdzili, że jeszcze coś ich łączy. W Wielkanoc pobierają się po raz drugi.

- Niesamowite.

- Tyle słyszy się o rozstaniach, że aż miło dla odmiany dowiedzieć się o ślubie - przyznała Kate. - Tak się cieszę. Lauren i Natasha na pewno są wniebowzięte. To ich córeczki - wyjaśniła Jonowi. - Śliczne małe. - Spojrzała na zegarek i wstała. - Wszystko pięknie, ale naprawdę musimy już iść. Została nam jeszcze jedna wizyta, a potem mam dyżur.

- Miło było cię spotkać. - Jon nie krył zaskoczenia nagłą decyzją Kate, ale również wstał. - Do zobaczenia.

- Zadzwoń do przychodni albo do Kate.

Rzucił Helen jej jeszcze jeden uśmiech i skinął głową. Jest dość atrakcyjny, uznała. Ma w sobie swoisty urok istoty dzikiej i nieokrzesej. Co prawda, Kate woli mężczyzn o bardziej cywilizowanych manierach, ale... przeciwności się przyciągają.

W skrytości ducha Helen pragnęła, by Kate ułożyła sobie życie. Kilka lat temu przestała być tą radosną dziewczyną, którą pamiętała ze szkoły.

Oczywiście trudno oczekiwać, by z biegiem lat ludzie się nie zmieniali, ale nie wszyscy tak nagle poważnieją. Kiedyś podczas lunchu Helen próbowała poruszyć ten temat, lecz przyjaciółka zbyła ją półsłówkami.

Jednakże obecnie sprawy przybrały dość nieoczekiwany obrót. Helen skończyła lunch, po czym ruszyła do izby przyjęć, by znów rzucić się w wir pracy.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Jon w samochodzie.

- Do pacjentki w Porchfield. To starsza pani, która nie wychodzi z domu. Odwiedzam ją co miesiąc.

Nie wspomniała, że dziś wcale nie miała zamiaru do niej jechać; chciała po prostu zniknąć z pola widzenia Helen. W spojrzeniu przyjaciółki było coś, co zbiło ją z tropu. Odniosła wrażenie, że Helen dopatruje się w jej postępowaniu dodatkowych motywów i wyciąga pochopne wnioski.

Helen miała złote serce, lecz uwielbiała swatać i było oczywiste, że z miłą chęcią kogoś by jej podsunęła. Na pewno jednak nie Jona Hammonda; on nie ma w sobie nic ujmującego. Nawet nie jest w jej typie, choć teraz nie potrafiłaby już sprecyzować, kto jest w jej typie, a kto nie.

Kiedyś uważała, że Alistair to mężczyzna jej życia. Nie mówiła nikomu, co ich rozdzieliło, ale pewnie powinna komuś się zwierzyć. Choćby Helen, swej najbliższej przyjaciółce...

- Dlaczego nie wychodzi z domu? - spytał Jon.

- Kto? - Ze świata wspomnień niełatwo wrócić na ziemię.

- Twoja pacjentka. Jest obłożnie chora?

Pogrążona w zadumie zapomniała w pierwszej chwili, o czym rozmawiała z Jonem.

- Ma niedokrwistość złośliwą. Raz w miesiącu daję jej zastrzyk witaminy B12.

Dom był okazały, osłonięty od strony drogi murem z czerwonej cegły. Podjazd zdobyły równo przyszczyżone żywopłoty z ligustru, zadbane trawniki otaczały rabatki prymulek, żonkili i narcyzów.

- Twoja chora podopieczna uwielbia pracę w ogrodzie - zauważył Jon, gdy samochód z chrzęstem żwiru pod kołami sunął w kierunku ganku.

- Och, sama nie jest w stanie pracować. Ma ogrodnika.

- Naprawdę? - Uniósł brwi i zrobił taką minę, że Kate zastanawiała się, czy w ogóle pozwolić mu wejść do środka.

Lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, drzwi się otworzyły i z domu wybiegły dwa pekińczyki, ujadaniem obwieszczając przybycie gości.

- Chang! Ming! Cicho, słyszycie?

W progu stała pacjentka Kate, pani Digby-Smithe. Była wysoka i chuda, miała pięknie ułożone siwe włosy, i opierała się na lasce ze srebrną rączką. Przywoływała do siebie psy, spoglądając na gości z wyniosłą miną.

- Och, Katherine - przemówiła wreszcie. - Nie spodziewałam się pani dzisiaj.

- Dzień dobry pani. Byłam w pobliżu i pomyślałam sobie, że...

- Proszę wejść. - Nie pozwalając Kate dokończyć czy choćby przedstawić Jona, starsza pani odwróciła się i zniknęła w holu, a za nią rozszczekane psy.

- Chyba zostanę. - Jon oparł się o maskę samochodu.

- Zgoda. - Kate uśmiechnęła się i ruszyła za pacjentką.

Przeszła przez hol wysłany miękkim dywanem i znalazła się w salonie pełnym antyków i pamiątek z Chin.

- Czy ten młody człowiek to pani kierowca? - spytała pani Digby-Smithe w chwili, gdy Kate wyciągała strzykawkę i ampułkę z lekiem. - Wyrazy współczucia. Wie pani, tak trudno teraz o dobrą służbę, kupuje się kota w worku. Ani poczucia godności, ani szacunku dla starszych! Gdzie go znalazłaś, moja droga? Ostrożność nigdy nie zawadzi.

- To nie jest mój kierowca. - Kate przemyła skórę pacjentki antyseptycznym roztworem.

- Nie? - Pacjentka zamarła w pełnej dostojeństwa pozie.

- Sama prowadzę.

- Więc kto to jest?

- Nowy lekarz.

- Co takiego?

Psy zaczęły skomleć, a Kate ściągnęła usta, gdyż stara dama przemawiała teraz tonem świętego oburzenia:

- W takim stroju?

- Szkoda, że go pani nie widziała zaraz po przyjeździe - zachichotała Kate.

- Pracuje w waszej przychodni?

- Zastępuje doktora Wooldridge'a. Teraz proszę się nie ruszać, poczuje pani lekkie ukłucie. Jeszcze chwileczkę... Już! - Wyjęła igłę. - Na miesiąc ma pani spokój. Jak się pani czuje?

Lecz stara dama jeszcze nie skończyła:

- Co na to pan Richard?

- Nic. - Kate wzruszyła ramionami. - Cieszy się, że w ogóle ktoś przyjechał nam pomóc.

- Za czasów jego ojca to byłoby nie do pomyślenia. Kiedyś lekarze szanowali się, pochodzili z dobrych domów, a teraz...

- Nie sądzę, żeby doktorowi Hammondowi można było wiele zarzucić. - Nie przypuszczała, że stanie w obronie Jona. - Jego wygląd można przypisać temu, że właśnie wrócił z Afryki.

- Ale to wcale nie znaczy, że wolno mu jeździć do pacjentów w tych ohydnych dzinsach.

- Wszyscy teraz noszą dzinsy - odparła Kate z uśmiechem.

- Oto kolejny przykład na to, że ludzie się nie szanują, a kiedy ludzie się nie szanują, to świat schodzi na psy.

- Może tak, może nie. W każdym razie chciałabym wiedzieć, jak się pani czuje.

- Jestem zmęczona, ciągle zmęczona. Jeśli jednak pominąć tę przekłętą anemię, jestem w znakomitej formie.

- Miło mi to słyszeć. A teraz pozwoli pani, że się pożegnam? Proszę zawołać psy, żeby nie biegły za samochodem.

- Oczywiście. Do widzenia, Katherine. Zobaczymy się za miesiąc?

- Naturalnie. Chyba że będę potrzebna wcześniej.

Jon stał nadal oparty o samochód, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i wyciągniętymi przed siebie nogami; jego adidas wyryły głębokie bruzdy w żwirze.

- Już po wszystkim?

Skinęła głową i otworzyła drzwiczki.

- Pieniądzy jej nie brakuje - stwierdził Jon, wsiadając do środka i nie spuszczać oczu z okazałej rezydencji.

- Z pewnością. Pan Digby-Smithe był sędzią, a jej rodzina miała wielkie posiadłości ziemskie, chyba plantacje herbaty.

- Tak myślałem. Nie spodobało mi się to majestatyczne spojrzenie. Za często je widywałem w Afryce.

Przez parę minut panowało milczenie, lecz gdy wyjechali na szosę, Jon odezwał się ponownie:

- Dlaczego ona nie przyjeżdża na zastrzyki do przychodni?

- Już ci mówiłam, że właściwie nie rusza się z domu.

- Czy ma samochód?

- Teraz już nie.

- Nie może wezwać taksówki? Chyba stać ją na ten luksus.

- Nie wiem, Jon - odparła poirytowana. Najpierw odpierała ataki pani Digby-Smithe, a teraz broniła jej przed atakami Jona. - Odkąd pamiętam, lekarz przyjeżdżał do niej do domu.

- Czy oddałabyś tę samą przysługę wszystkim chorym?

- Jasne. Chciałabym...

- Oczywiście, nie wszyscy ci za to płacą. Kate spodziewała się tego.

- Zgadza się. Ona leczy się u nas prywatnie.

- Aha!

Długo panowało milczenie. Wreszcie, gdy mijali szpital, Jon wyznał:

- Przyznaję, że tutejsze zwyczaje wprawiają mnie w zakłopotanie.

- Pani Digby-Smithe nie jest naszą typową pacjentką. Po prostu ją leczymy, nie wnikając w okoliczności. Jest bardzo słaba i zasługuje na taki sam szacunek jak inni chorzy.

- Nie chodzi mi tylko o nią.

- Więc o co? - Wjechali na parking i zgasiła silnik.

- O całokształt. Wielki, nowoczesny szpital, wspaniale wyposażona przychodnia, luksusowe mieszkania, firmowe jachty, elitarny klub golfowy, prywatne szkoły... Ludzie, których leczę, nawet w najśmielszych snach nie marzą o takim zbytku.

Charakterystycznym dla siebie, nieobecny spojrzeniem wpatrywał się w krajobraz za oknem, jakby obserwował jakiś niewidoczny horyzont.

- Większość moich pacjentek - ciągnął po chwili - musi codziennie chodzić trzydzieści kilometrów do studni, żeby przynieść sobie wody. W Tanzanii kobiety śpią na podłodze, na matach z trzciny, dzieci rodzą w rowie za najbliższym krzaczkiem, a często zaraz potem je grzebią. Większą część życia spędzają w biedzie, cierpiąc ból, walcząc z chorobami... Ale taki już chyba jest ten świat. W pojedynkę go nie zmienimy, chociaż czasami byśmy chcieli... No dobrze, co teraz?

Chwilowo nie była w stanie odpowiedzieć. Jego wybuch, choć gwałtowny, skończył się równie nagle, jak się zaczął, natomiast ona wciąż była pod wrażeniem jego słów. Nie miała pojęcia, że Jon żywi uczucia tak głębokie i silne. Nic dziwnego, mało wiedziała o nim, o jego przekonaniach, o przyczynach, dla których wybrał taką, a nie inną drogę życia.

- Poradnia. Nazywamy ją Kliniką Zdrowej Kobiety - powiedziała.

- Ach tak, zapomniałem. Pozwolisz mi popatrzeć? Mieliśmy zamiar stworzyć coś podobnego w naszej stacji i chciałbym skorzystać z twoich doświadczeń.

Nie mogła mu odmówić. Poszedł za nią do rejestracji, a potem do gabinetu.

- Powiedz mi, czym się tu zajmujesz.

- Robię cytologię i badania piersi, a jeżeli wykryję guzki czy inne zmiany, odsyłam kobiety na mammografię. Poza tym pomagam dobrać środek antykoncepcyjny, prowadzę ciążę, mierzę ciśnienie. Czasami doradzam aborcję, ale zdarza się też, że kieruję na zapłodnienie in vitro. Zresztą sam zobaczysz.

Pierwszą pacjentką była młoda kobieta, która mieszkała ze swym partnerem i miała dwoje dzieci z poprzedniego związku. Prosiła o radę w zakresie antykoncepcji.

- Lee bardzo chce mieć dziecko, ale dwójka chyba nam wystarczy. Mam nadzieję, że ostatecznie uda mi się namówić go na wazektomię, chociaż on na razie się nie zgadza. Dlatego chciałabym brać pigułki.

Kate jak zwykle zmierzyła ciśnienie, zważyła pacjentkę i zadała rutynowe pytania dotyczące zdrowia i czynników dziedzicznych, po czym przepisała słaby środek hormonalny.

- Dziękuję, pani doktor. Spróbuję namówić Lee, żeby przyszedł z panią porozmawiać.

Gdy za pacjentką zamknęły się drzwi, a Kate zerknęła na Jona, okazało się, że ten siedzi z wyrazem zgrozy na twarzy.

- Co się stało? Pokręcił głową.

- Myślę o tym biednym chłopaku. Nie dość, że nie ma własnych dzieci, to jeszcze chcecie go pozbawić nadziei.

- Przynajmniej dziewczyna ma poczucie odpowiedzialności - odrzekła ostro. - Wiele kobiet w ogóle o tym nie myśli, a potem okazuje się, że jest za późno.

Jon wzruszył ramionami.

- Może miałyby to jakiś sens, gdyby on był jej mężem, ale chyba przyznasz, że w kolejnym luźnym związku jest to środek zbyt drastyczny.

Druga pacjentka, młoda dziewczyna, przybyła w towarzystwie matki, która prosiła o przepisanie tabletek antykoncepcyjnych.

- Tylko dla bezpieczeństwa, pani doktor. Zaczęła umawiać się z chłopakami, a w tym wieku nie myśli się o konsekwencjach, prawda?

- Pierwszy raz widzę, żeby matka demoralizowała własną córkę - stwierdził potem Jon.

- O co ci chodzi? - Kate rozzłościła się nie na żarty.

- Jeżeli ta młoda dama jeszcze nie posmakowała seksu, to na pewno teraz spróbuje.

- Posłuchaj, jeżeli masz tu siedzieć i załamywać ręce, to wołałabym, żebyś wyszedł. Moja praca jest ciężka bez tego, więc swoje cenne uwagi zachowaj dla siebie.

- Przepraszam. - Podniósł do góry ręce. - Więcej nie pisnę słówka, obiecuję.

Kate zaczęła przeglądać następną kartę.

- Czy mogę zostać? Proszę.

- No dobrze, ale siedź cicho. Nie wtrącaj się i nie krytykuj. Rozumiemy się?

Gdy skinął głową, nacisnęła dzwonek.

Kolejne rozmowy przebiegły bez przeszkód. Kate wykonała badania cytologiczne i udzieliła porad w zakresie planowania rodziny. Jon dotrzymał słowa, a gdy wreszcie zadzwoniła Claire z wiadomością, że nikt już nie czeka, Kate z westchnieniem oparła się o poręcz krzesła.

- No, wreszcie. I jak? Nauczyłeś się czegoś? Sądysz, że w buszu można prowadzić taką poradnię?

- Trudno powiedzieć.

- Czy przepisujecie środki antykoncepcyjne?

- Tak, ale...

- Zawsze myślałam, że to niezbędne w krajach przeludnionych, gdzie panuje głód.

- Może i tak. - Wzruszył ramionami. - Tylko że najlepsze rady ani pigułki nie pomogą, jeżeli sami zainteresowani ich nie chcą.

- Jak to? Na pewno woleliby ograniczyć liczbę dzieci.

- To nie takie proste. W ich kulturze duża rodzina jest wartością samą w sobie.

- Religijną?

- Niekoniecznie. Na przykład wioski nieopodal stacji, w której akurat pracuję. Tam ambicją mężczyzny jest mieć jak najwięcej potomstwa.

- A co na to kobiety?

- Byłabyś zaskoczona. Dzieci są treścią ich życia. Duża rodzina to niemal symbol statusu społecznego. Musisz też pamiętać, że mnóstwo dzieci umiera, więc kto wyda ich na świat więcej, ten ma większe szanse, że choć kilkoro dożyje wieku dorosłego. To ich sposób na życie. Widziałem, jak ciężko jest bezdzielnym, a w ubogich wioskach nie ma mowy o zapłodnieniu in vitro.

- Co oni wtedy robią? - Kate czuła się, jakby odkrywała nowy, nieznaną świat. - To znaczy, jeżeli nie mogą mieć dzieci?

- Bezpłodna kobieta opiekuje się dziećmi swojej siostry albo szwagierki, co w pewnym stopniu rekompensuje jej brak własnego potomstwa.

- Rozumiem, chociaż wątpię, czy ta sielankowa wizja odpowiada rzeczywistości.

- A ja czasami wątpię, czy tak zwana cywilizacja faktycznie ułatwia nam życie. W buszu kodeks moralny jest ściśle przestrzegany. W Afryce na nieślubne dzieci patrzy się z niechęcią, a seks pozamałżeński to przestępstwo.

- Niemożliwie! Wyobraź sobie, co by było, gdybyś chciał wprowadzić takie zasady tutaj.

- Właśnie. Wyobraź sobie. - Uśmiechnął się szeroko. - Wcale nie chcę przez to powiedzieć, że u nich takich rzeczy nie ma, po prostu one nie są tak nagminne. - Nagle przeciągnął się i ziewnął. - Czy to wszystko na dzisiaj?

- Tak.

- Świetnie. Więc możemy jechać do domu.

- Chyba możemy.

- Pozwolisz mi zrobić kolację?

- Ależ oczywiście. - Czyżby obawiał się, że nie zostanie wpuszczony do kuchni? W tej chwili zadzwonił telefon. - Co się stało, Claire?

- Pani doktor, dzwoni pielęgniarka środowiskowa. Pan Ashton jest w bardzo ciężkim stanie.

- Dziękuję, Claire. Powiedz, że zaraz przyjadę.

- Ashton? Ten w ostatnim stadium raka? Kate skinęła głową.

- To chyba koniec.

- Chcesz, żebym z tobą pojechał?

- Nie. Rodzina ma i tak dość kłopotów, po co jeszcze nas dwoje? Zawiozę cię najpierw do domu. - Podała mu klucze.

Zawahał się. Obawiała się, że odmówi ich przyjęcia i koniecznie będzie chciał jej towarzyszyć. Była zmęczona i nie miała już sił walczyć, dlatego poczuła ulgę, gdy wreszcie skinął głową i wziął od niej klucze.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W ostatnich chwilach panu Ashtonowi towarzyszyła cała rodzina. Przy chorym czuwała żona Jill, dwóch synów i córka. Był też obecny brat Toma, Brian, oraz czworo wnuków, które oczywiście nie stały przy łóżku, tylko biegały po domu.

- Cieszę się, gdy widzę, że rodzina gromadzi się wokół chorego - rzekła Kate. - Widać nie brakuje tu miłości i serdeczności.

- Tom chciał zostać w domu - wyjaśniła Jill.

- Dobrze, że mu to pani umożliwiła.

- On nie cierpi, prawda? - We wzroku Jill malowała się rozpacz.

Kate pokręciła głową.

- Jest nieprzytomny.

Jill Ashton westchnęła i chwyciła za rękę starszego syna.

- Oprzytomniał na chwilę dziś po południu, kiedy przyjechał Steve z rodziną - powiedziała cicho.

- Więc wie, że są przy nim wszyscy, których kocha.

Jill milczała, wpatrując się w męża, jakby chciała, by jego obraz pozostał dokładnie wyryty w jej pamięci. Po chwili Kate wyszła dyskretnie z pokoju, przywoławszy do siebie gestem pielęgniarkę środowiskową.

- O piątej jego stan gwałtownie się pogorszył - powiedziała

Alison, zamykając za sobą drzwi. - Podałam mu diamorfinę. Oddycha coraz ciężiej.

- To nie potrwa długo - rzekła Kate cicho. - Zostanę tu. Martwię się o Jill.

- Nie oszczędza się. Odkąd dowiedzieli się, co czeka Toma, to ona dodaje wszystkim otuchy. Mam tylko nadzieję, że potem dzieci zadbają o nią tak samo.

- Przepraszam, pani doktor! - Z sypialni wyszedł brat Toma.

- Słucham, Brian.

- Czy można jeszcze coś dla niego zrobić?

- W jakim sensie?

- No, czasami słyszy się o cudownych uzdrowieniach w ostatniej chwili, o innych rodzajach terapii... Może nie jest za późno na operację? Właściwie nie rozumiem, dlaczego go nie operowano...

Kate dobrze знаła to zrozpaczone spojrzenie ludzi, którzy żegnali swych bliskich. Położyła rękę na ramieniu Briana. Alison bez słowa wróciła do sypialni.

- Przykro mi - powiedziała Kate - ale naprawdę zrobiliśmy już wszystko. Oczy mężczyzny wezbrały łzami.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Tłumił szloch. - A wydawałoby się, że jeszcze wczoraj byliśmy małymi chłopcami, chodziliśmy na jabłka i uciekaliśmy przed gliniarzami.

- Wiem, Brian. Te wspomnienia będą dla ciebie szczególnie cenne.

- Ale on ma dopiero pięćdziesiąt sześć lat! W naszych czasach to mało, o wiele za mało, żeby umierać. Nawet nie przeszedł na emeryturę. Dlaczego musi już umrzeć?

- Życie bywa okrutne - przyznała Kate - ale czasami łatwiej nam myśleć, że nie kończy się tak po prostu, tylko dopełnia się. Może Tom w ciągu tych pięćdziesięciu sześciu lat przeżył już wszystko?

Brian jest teraz oszołomiony, ale gdy ochłonie, może przypomni sobie jej słowa? Tymczasem w progu sypialni pojawiła się Alison. Kate popatrzyła na nią i zrozumiała, że Tom odszedł.

- Chodź, Brian. Jesteśmy tam potrzebni.

Zapadał już zmrok, gdy Kate odjeżdżała sprzed domu Ashtonów. Ruszyła drogą wzdłuż morza, minęła cypel o nazwie Egypt Point. Trudno powiedzieć, co było bardziej przygnębiające: śmierć pacjenta czy rozpacz i smutek jego rodziny.

Jill odmówiła przyjęcia środków uspokajających, a Kate w skrytości ducha cieszyła się z jej decyzji. Żona Toma była spokojna i pogodziła się z

sytuacją. Potem nadejdzie moment, kiedy kobieta w pełni uświadomi sobie, jaką poniosła stratę, ale Kate wiedziała z doświadczenia, że wtedy środki uspokajające nie pomogą, a raczej przedłużą chwile cierpienia.

Noc była cicha, niebo usiane gwiazdami, a morze spokojne. Teraz każde uderzenie fal o brzeg pozostawiało falbanki białej piany, a smuga srebrzystego światła połączyła wyspę z zatoką Southampton Water. Prom sunął bezgłośnie po Solencie, wysoki i jasny jak ogromny wieżowiec, zaś na przystani kutry rybackie i łodzie postukiwały o siebie wzajemnie, kołysząc się na powierzchni wody.

Ciekawe, co robi teraz Jon. To dziwne uczucie - wracać do domu ze świadomością, że ktoś czeka. Dziwne i dawno zapomniane. Budziło niemiłe wspomnienia. Znow żałowała, że nie była stanowcza i nie poprosiła, by Jon znalazł sobie jakiś pokój.

Jest niekłopotliwy, to trzeba przyznać.

Prawdę rzekłszy, okazał się o wiele bardziej interesujący, niż się z początku wydawało. Pierwsze wrażenie bywa mylące. Alistair oczarował ją natychmiast swym urokiem i dowcipem, zaimponował wykształceniem w dobrej szkole i przynależnością do wyższych sfer. A potem okazało się, że to wszystko nic nie jest warte. Może więc nie miała racji, sądząc, że Jon to tylko swego rodzaju włóczęga?

Dojechała do Cowes i spojrzała na fasadę swojego bloku. W oknach jej mieszkania paliło się światło i, o dziwo, zrobiło jej się ciepłej na sercu. Zaraz jednak zapragnęła, żeby gość był już po kolacji i poszedł spać.

Chwilę siedziała z rękami na kierownicy zaparkowanego samochodu. Jak długo jeszcze będzie żyła w strachu? Jak długo nie będzie miała zaufania do ludzi?

Wreszcie, w poczuciu, że dłużej nie można zwlekać, wysiadła i weszła do domu. Na schodach unosiła się apetyczna woń i wszystko wskazywało na to, że ktoś z lokatorów przyrządza coś pysznego.

Jon był w kuchni. Boso, w białej koszulce trykotowej i w nieodłącznych podartych dżinsach, kręcił się przy kuchence zastawionej garnkami, garnuszkami i rondlami, z których rozchodziły się smakowite zapachy. Na stole stała butelka wina.

- Przyszłaś w ostatniej chwili - rzekł, nie odrywając wzroku od patelni, którą posługiwał się z istic mistrzowską wprawą. - Gdybyś wróciła później, musiałbym ci to wszystko podgrzewać. Napijesz się wina?

Stała w progu i rozglądała się wokół. Nie pamiętała, kiedy ostatnio gotowano tu z takim rozmachem, i stwierdziła, że jest to precedens.

- Jadłeś już? - zapytała cicho.

- Oczywiście, że nie. - Po raz pierwszy spojrzął na nią. - Wyglądasz na zdruzgotaną - dodał.

- Bo jestem zdruzgotana.

- Zmarł?

- Jakaś godzinę temu. Jego rodzina nie może się z tym pogodzić.

- Naprawdę powinnaś się napić. - Napełnił dwa kieliszki.

- Dzięki. - Skinęła głową, postawiła torbę na podłodze i upiła łyk wina. - Ugotowałeś dla mnie kolację?

- A jak myślisz? Po co pytałbym cię, czy mogę skorzystać z kuchni?

Wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie wiem. Sądziłam, że po prostu chcesz przyrzędzić coś dla siebie.

- Chyba nie byłoby to z mojej strony uprzejme, zwłaszcza że ty pracujesz, mieszkanie jest twoje i mogę tu nocować tylko dzięki twojej dobrej woli.

Nagle przypomniała sobie, jak Alistair kiedyś kategorycznie zażądał posiłku, choć wiedział, że tego dnia miała szczególnie ciężki dyżur.

- Daj mi chwilkę. Muszę pójść do siebie.

Przebrała się w szafirową koszulkę i spodnie z miękkiego weluru, przemyła twarz zimną wodą i uczesała włosy, zrobiła dyskretny makijaż, wreszcie delikatnie spryskała się perfumami.

Tymczasem Jon nakrył do stołu przy wielkim oknie w salonie. Odsunął zasłony, by mogli podziwiać widok na spowitą mrokiem cieśninę Solent, wskazał Kate miejsce i podał pierwsze danie: ciepły chleb pita z pikantnym dipem.

Dopiero teraz Kate zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna. Oprócz kanapki w szpitalnym bufecie nie miała nic w ustach, a było już po dziewiątej wieczorem. Zjedli w milczeniu przystawkę, po czym przeszli do głównego dania w postaci smażonego kurczaka z czerwoną papryką.

- Bardzo smaczne - westchnęła błogo Kate. - Nie pytam, gdzie nauczyłaś się gotować, ale ciekawi mnie, skąd wzięłaś składniki.

- Rano byłem przecież w sklepach. Muszę przyznać, że ten facet z monopolowego zna się na rzeczy; wino jest znakomite.

- Lepsze niż to, które pije się w buszu? - Miała ochotę troszkę się podroczyć.

- Bez porównania.

- To coś nowego.

- Nie rozumiem.

- Dotychczas wszystko, co mówiłam i robiłam, nawet porady, jakich udzielałam pacjentom, porównywałam do swoich doświadczeń tanzańskich. W większości przypadków afrykańskie znaczyło dla ciebie lepsze, więc z radością słyszę o wyjątku od reguły.

- No i zrobiłaś ze mnie zarozumialca.

- Nic podobnego. - Uśmiechnęła się. - Przynajmniej nie miałam takich intencji.

- Powinnaś to robić co chwila.

- Co?

- Uśmiechać się. Promiennie, tak jak przed chwilą. A propos, ten kolor też noś częściej; idealnie pasuje do twoich oczu.

- Czyżby?

- To nietypowa kombinacja przy ciemnych włosach - ciągnął nie zmieszany. - Czy miałaś wśród przodków Irlandczyka albo Walijczyka? Nie? Znałem kiedyś Walijkę o czarnych włosach i takich samych niebieskich oczach. Och, mniejsza z tym.

W każdym razie efekt jest piorunujący. Ale takie rzeczy słyszysz chyba codziennie.

- Trochę rzadziej.

- To gdzie się podzieli mężczyźni z wyspy Wight?

Nagle poczuła się zakłopotana, nie tylko jego sugestią, ale też wyrazem szarych oczu, które patrzyły na nią chłodno. Odniosła wrażenie, jakby jego spokojne spojrzenie przenikało w głąb jej serca, na samo dno duszy, przetrząsając jej wnętrze i wydobywając na światło dzienne najskrytsze obawy. Czowała się bardzo nieswojo, toteż wstała i zaczęła zbierać talerze.

- Skąd nagle ten pośpiech?

- Robi się późno.

- Nie aż tak bardzo.

- Spójrz na zegarek. Zrobię kawę. - Uciekła do kuchni, pozostawiając go przy stole, balansującego na odchylonym do tyłu krześle.

Przyszedł do niej po paru minutach.

- Dlaczego zamykasz się na klucz w sypialni?

To była ostatnia rzecz, której się spodziewała. Przerwała swoje zajęcia i przez dobrą minutę wpatrywała się w czajnik i kubki. Wreszcie powoli się odwróciła. John stał oparty o framugę i patrzył na nią przenikliwym wzrokiem.

- Skąd wiesz?

- Słyszałem, jak przekręcałaś klucz. To mnie zaintrygowało. Zawsze się zamykasz, czy tylko teraz, kiedy jestem u ciebie?

Głęboko odetchnęła odurzającym aromatem kawy.

- Kiedyś koleżanka opowiadała, jak ktoś wtargnął w nocy do jej pokoju...

- I od tego czasu zawsze się zamykasz?

Spojrzała mu prosto w oczy. Nie potrafiła go okłamywać.

- Nie.

- Nie ma takiej potrzeby. - Jego głos był cichy i delikatny jak szmer przyływu muskającego kamyki na plaży.

- Wiem. - Przy nim naprawdę czuła się bezpiecznie.

- Chcesz o tym porozmawiać? Pokręciła głową.

- Nie ma potrzeby. - Odsunął się, lecz gdy mijała go w drzwiach, niechcący dotykając ramieniem jego piersi, dodał miękko: - Jeżeli zmienisz zdanie, to pamiętaj, że umiem słuchać.

Tej nocy nie zamknęła drzwi na klucz i spała spokojnie. Obudziła się jednak wcześniej i przez długi czas leżała, rozmyślając. Myślami była przy mężczyźnie, który tak bezceremonialnie wkroczył do jej świata. Odkąd się pojawił, życie nie było już takie samo.

I znów po wyjściu z sypialni spotkała go na korytarzu, ale później, gdy już się wykąpała i ubrała, okazało się, że w mieszkaniu jest pusto i głucho.

Doszła do wniosku, że pewnie gdzieś sobie poszedł, po czym wyjrzała na dwór przez ogromne okno. Stał na plaży, prawie na linii wody, i założywszy dłonie na kark, patrzył w kierunku lądu rysującego się po drugiej stronie cieśniny. Zastanawiała się, o czym on tak дума - czy naprawdę podziwia widok, czy też myślami biegnie daleko, na otwarte, bezkresne przestrzenie afrykańskiej sawanny, gdzie, jak się zdaje, zostawił serce.

Pod wieloma względami był to dziwny człowiek, inny niż wszyscy mężczyźni, jakich znała, a do tego stanowił dokładne przeciwieństwo Alistaira. Nawet fizyczne. Jon był wysokim blondynem, Alistair zaś dość krępy brunetem. Jon miał szare oczy, Alistair brązowe. Nagle przeszedł ją dreszcz. Skąd to porównanie? Dlaczego znów nachodzą ją myśli o Alistairze?

Już miała odwrócić się od okna, kiedy Jon podniósł nagle z ziemi jakiś przedmiot i rzucił go w morze. Przyglądała się, jak kamyczek odbił się kilka razy od powierzchni wody. Stała bez ruchu, patrząc, jak Jon rzuca drugi kamyczek, a po nim jeszcze jeden... Nie drgnęła nawet, gdy nieoczekiwanie odwrócił głowę i zobaczył ją w oknie.

Pomachał ręką i ruszył wielkimi suszami w kierunku domu. Dopiero gdy wszedł do środka i zniknął z jej pola widzenia, odzyskała władzę w nogach. Słyszając, jak wchodzi do pokoju, odwróciła się do niego, nagle zakłopotana. Już miał się odezwać, lecz gdy uważnie przyjrzał się jej twarzy, słowa zamarły mu na ustach. Przez dłuższą chwilę po prostu stali, nie odrywając od siebie wzroku.

- Coś się stało? - zapytał łagodnie.

- Nie. - Zaczęła poprawiać poduszki na kanapie, mimo że były ułożone. - Po prostu muszę już jechać, bo się spóźnię.

- No to jedźmy - powiedział spokojnym tonem.

Kolejny dzień upłynął według tego samego schematu. Jon poznawał metody pracy w przychodni i towarzyszył Kate podczas wizyt domowych. Jego obecność nie powodowała już spieć, a pod koniec dnia Kate musiała przyznać, że polubiła towarzystwo gościa. Wieczorem ugotowała kolację nie tylko w rewanżu, ale i ze szczerą chęcią. Upiekła baraninę z warzywami i otworzyła butelkę wina.

- Przepyszne - oznajmił Jon, mrużąc oczy.

- Cieszę się, że ci smakuje. - Była naprawdę zadowolona z jego pochwały.

Wciąż czuła pewien niepokój, ale w końcu mężczyźni nie gościli w jej domu zbyt często. Trzecią noc przespała spokojnie. Następnego dnia, czyli w sobotę, nie musieli się spieszyć do pracy i ranek przebiegał powoli. Jedli grzanki, pili kawę i czytali gazety, kiedy zadzwonił telefon.

- Kate, tu Helen. Chciałam ci powiedzieć, że malowanie skończone i Jon może się wprowadzić.

- Świetnie, powiem mu. - Odkładając słuchawkę, napotkała wzrok Jona. - Helen mówi, że mieszkanie już gotowe.

- Rozumiem. - Nie była w stanie określić uczucia, które odmalowało się na jego twarzy. - W takim razie nie muszę ci się już narzucać.

- Podwieźć cię do Gatcombe?

- Dzięki, ale pewnie masz co robić. Wezmę taksówkę. Pokręciła głową.

- I tak muszę jechać po zakupy. Mogę cię podrzucić po drodze do supermarketu.

- No dobrze. Wezmę rzeczy.

Posprzątała ze stołu i poszła do sypialni po żakiet, torbę i klucze. Po powrocie zastała go przy oknie widokowym, obok swoich toreb, w ciężkich butach i ciemnozielonym kapeluszu.

Przystanąła w progu, przyjrzała mu się i nagle ogarnęło ją nieznane dotąd uczucie. Nie potrafiła sprecyzować, jakie; prawdopodobnie stanowiło kombinację czułości i współczucia, i przez chwilę niemal żałowała, że gość już wyjeżdża. To były tylko trzy dni? Miała wrażenie, że mieszkał tu od zawsze.

- Fascynujące, prawda? Morze zawsze jest inne.

- Mogłabym patrzeć na nie w nieskończoność - odparła zgodnie z prawdą.

- Ma tyle różnych nastrojów.

- Jak kobieta. - Odwrócił się. - Raz dzikie i wzburzone, innym razem delikatne i ciche.

Miała powody podejrzewać, że się z niej naśmiewa, w końcu już pierwszego dnia speszył ją jakimś żartem. Ale tym razem ani w jego oczach, ani w tonie głosu nie było śladu kpiny. Kiedy dumiała nad ewentualną odpowiedzią, ujął jej rękę.

- Dziękuję, że pozwoliłaś mi przenocować. Naprawdę to doceniam. - Pochylił się i podniósł jej dłoń do ust.

- Było mi bardzo miło... - wykrztusiła ochryplym głosem i utkwiała wzrok w jego włosach o barwie miodu.

Po chwili czar prysnął. Ona cofnęła rękę, on wyprostował się i wziął swoje rzeczy, po czym wyszli z mieszkania.

Na wybrzeżu snuła się jeszcze poranna mgiełka, ale w głębi wyspy widoczność się poprawiła. Tylko w dolinie, wzdłuż rzeki Medina, wisały jeszcze girlandy białego puchu.

Jechali z dala od miejskiego zgiełku, tuż pod murami zamku Carisbrooke skapanego w promieniach marcowego słońca, a dalej zwykłymi polnymi drogami. Na żywopłotach zielone pączki nabrzmiwały w słońcu, gotowe się rozchylić, na brzegu rzeki cieszyły oko kępki pierwiosnków i jaskółczego ziela, a na polach pasły się spokojnie krowy i owce.

- Zapomniałem, jak piękna potrafi być Anglia wiosną - powiedział Jon, wyglądając przez okno.

- Może chciałeś zapomnieć - wyrwało jej się.

Obserwowała go kątem oka; siedział w milczeniu, aż wreszcie wydał cichy dźwięk, który można by uznać za westchnienie, i odparł spokojnie:

- Pewnie masz rację.

Przed Coach House czekała na nich Helen, lecz Harry'ego nie dostrzegli.

- Jeszcze śpi - wyjaśniła gospodyni. - Mieliśmy okropną noc. Nie poznawał mnie.

- Mam go zbadać? - Kate poklepała Chestera, który przydreptał na oględziny porannych gości.

- Niech się spokojnie wyśpi. - Helen była blada, miała podkrążone oczy. Gdy jednak dostrzegła bagaż Jona, nie potrafiła ukryć zdumienia. - Czy to wszystko?

- Nie lubię dźwigać - odparł z szerokim uśmiechem.

- No, to ja lecę. - Kate w gruncie rzeczy nie chciała ich opuszczać. Z niewyjaśnionych przyczyn wolałaby zostać, ale nie znalazła pretekstu.

- Poczekaj chwilkę. - Na szczęście Helen uznała za stosowne ją zatrzymać. - Zaprowadzę tylko Jona do mieszkania i napijemy się kawy.

- Naprawdę powinnam jechać - zaczęła Kate, lecz potem dodała bezradnie: - Ale przecież zakupy nie uciekną.

Usiadła na drewnianej ławce przed wejściem i przyglądała się, jak Helen prowadzi gościa do starego, porośłego bluszczem budynku stajni, nad którą znajdowało się mieszkanie. Gdy wspięli się po schodkach i zniknęli w drzwiach, Kate nagle ogarnęło zupełnie nieoczekiwane uczucie, podejrzenie zbliżone do zazdrości. Nie do wiary, zwłaszcza że przez te trzy dni dosyć niechętnie gościła Jona u siebie i nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie się go pozbędzie.

- Jak to dobrze, że się zgodziłaś - powiedziała w chwilę później, przyglądając się, jak przyjaciółka robi kawę. Jon w tym czasie rozpakowywał swój skąpy bagaż.

- Nie ma sprawy. Jest miły, polubiłam go.

Kate nachmurzyła się. Z jakiejś przyczyny na samą myśl o sympatii Helen do Jona poczuła się nieswojo. Przez ostatnie parę dni to ona roztaczała nad nim opiekę, z której, co prawda, zbytnio się nie cieszyła.

- Jak już mówiłam - ciągnęła Helen, zupełnie nie podejrzewając, co nurtuje w tej chwili przyjaciółkę - teraz potrzebne nam towarzystwo. Dobrze, że znaleźliśmy kogoś, kto zrozumie stan taty.

- Masz rację.

Kate nagle zawstydziła się własnych myśli. W końcu Helen stara się pomóc. Nie musi wynajmować Jonowi mieszkania, które przecież czeka na córkę kuzynki. Zasłużyła sobie na wdzięczność, bo trudno byłoby znaleźć teraz jakiś pokój, zwłaszcza że rozpoczął się sezon turystyczny.

Więc skąd ta zazdrość? Helen ma Richarda i zapewne nie zainteresuje się Jonem. A gdyby nawet nie było Richarda, a Helen zakochała się w przybyszu bez pamięci, cóż byłoby w tym złego?

Wypiła kawę, pożegnała się z Helen i na podwórku spotkała Jona. Przez chwilę czuł się chyba nieco niezręcznie, jakby nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Potem obdarzył ją uśmiechem.

- Do zobaczenia.
- Do zobaczenia - mruknęła.

Wiedząc, że Helen stoi w progu i przygląda się im, Kate szybko wsiadła do samochodu, zapięła pas i uniosła rękę w geście pożegnania, po czym natychmiast odjechała.

W drodze do miasta nie mogła się oprzeć wrażeniu, że czegoś jej brakuje. W supermarkecie robiła zakupy jak automat, po prostu wrzucała do wózka to, co wpadło jej w rękę, wreszcie w smętnym nastroju wróciła do Cowes.

Cisza i pustka, jakie panowały teraz w mieszkaniu, były nie do zniesienia. Snując się po pokojach, usiłowała otrząsnąć się ze wspomnień. Na każdym kroku widziała jego postać. W kuchni opierał się o kuchenkę, w salonie siedział na kanapie albo przy oknie widokowym, na krześle niebezpiecznie odchylonym do tyłu.

Wyglądała przez wielkie okno na wody cieśniny Solent, pełne weekendowych promów i pierwszych jachtów tego sezonu. Dziś wyjątkowo ich widok nie sprawiał jej przyjemności.

Sama nie wiedziała, kiedy weszła do sypialni gościnniej. Pościel leżała starannie złożona na kołdrze. Wzięła ją do ręki i skryła w niej twarz, chłonąc jego zapach. Pusty pokój był pełen Jona. Nawet cień, jaki rzucały zasłony targane lekkimi podmuchami wiatru, przypominał jego sylwetkę.

Tego dnia wielokrotnie odnosiła wrażenie, że słyszy jego głos, lecz gdy podnosiła głowę w nadziei, że Jon wchodzi do pokoju, okazywało się, że to jedynie szum fal na plaży.

Dotychczas tylko raz w życiu czuła się w ten sposób - kiedy poznała Alistaira. Ale w nim się zakochała, a to absolutnie niemożliwe w przypadku Jona. Przecież ona właściwie tego człowieka nie zna! Nie jest nawet w jej typie, a poza tym ona już nigdy w nikim się nie zakocha. Nie po tamtej katastrofie.

To idiotyzm, naprawdę, trzeba wziąć się w garść. Przecież będzie go widywała w pracy, a jeśli pozwoli mu się domyślić, co się dzieje w jej sercu, bez wątpienia narazi się na drwiny.

Nie, powiedziała sobie wieczorem, najlepsze, co można zrobić, to zachować spokój. Być uprzejmą, gdy go spotka, traktować go serdecznie, tak jak wszystkich kolegów z pracy, ale zarazem trzymać na dystans, o ile to tylko możliwe.

Spała tej nocy dobrze, wstała w dobrym nastroju, ale gdy wzięła prysznic i ubrała się, stwierdziła, że dzień bez Jona to wieczność. Zastanawiała się, czym wypełnić długie godziny, z czym nigdy dotychczas nie miała problemu. Gdy zadzwonił telefon, zerwała się na równe nogi.

W głębi serca pragnęła, żeby to był Jon. W pierwszym odruchu chciała natychmiast pognać do aparatu, lecz w porę się zreflektowała. Nie. Jeszcze sobie pomyśli, że ona siedzi przy telefonie i czeka. Przy szóstym sygnale, gdy serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe, podniosła słuchawkę.

- Słucham? - Miała nadzieję, że jej głos brzmi obojętnie.

- Cześć, Kate! Tu Elizabeth. Cóż za rozczarowanie!

- Cześć. Coś się stało?

- Chciałam cię tylko zawiadomić, że mój samochód jest już naprawiony i mogę oddać służbowy. Pewnie lepiej by było, gdybym przyprowadziła go doktorowi Hammondowi?

- Doktora Hammonda już u mnie nie ma. Wczoraj przeniósł się do Helen.

- Ach, rozumiem. Chcesz, żebym pojechała do Gatcombe?

- Nie musisz. - Kate zdumiała się, słysząc swe własne słowa. -

Przyprowadź go tutaj, a ja pojedę później do Helen.

- Zgoda. - Elizabeth chyba odetchnęła z ulgą; widocznie nie miała ochoty podróżować aż do Gatcombe. - Tylko jak wrócisz?

- Och, nie martw się - odparła Kate bez troski. - Doktor Hammond z pewnością chętnie mnie odwiedzie.

Odkładając słuchawkę, była w cudownym nastroju.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Dobrze spałeś? - Helen przerwała na chwilę pielenie grządki przed kuchennymi drzwiami i wyprostowała się na widok Jona idącego niespiesznie przez podwórze.

- Jak kamień, dzięki.

- Cieszę się - odrzekła z uśmiechem. - Pierwsza noc pod nowym dachem bywa ciężka.

- Nie dla mnie. To pałac w porównaniu z tym, do czego przywykłem.

- Rozumiem. - Faktycznie, on musi być przyzwyczajony do zupełnie innych warunków. - Nie brakuje ci niczego?

- Chyba nie. Niewiele mi trzeba do szczęścia. Za każdym razem, kiedy widzę cały ten luksus, to znaczy to mieszkanie nad stajniami albo apartament Kate nad brzegiem morza, przeżywam szok kulturowy. - Usiadł na ławce przed domem i przyglądał się, jak Helen wrywa chwasty. - Wyspiarzom nieźle się powodzi.

Helen skinęła głową.

- Wiem.

- Jedna z rejestratorek powiedziała mi, że wielu w ogóle stąd nie wyjeżdża. - Chyba nie wyobrażał sobie, jak można spędzić całe życie na niewielkiej wysepce.

- To prawda, a ci, którzy postanawiają wyjechać, i tak szybko wracają. Są jeszcze tacy, którzy mieszkają tu z wyboru. Na przykład Kate.

- Kate? - Zmarszczył brwi. - Myślałem, że jest stąd.

- Nie. - Helen z zapalem wyciągała korzenie mleczu.

- A podobno chodźliście razem do szkoły.

- O tak, ale Kate mieszkała w internacie. Pochodzi z hrabstwa Dorset. Jej rodzice wciąż tam mieszkają, jednak ona tak pokochała wyspę, że wróciła tu i podjęła pracę u Richarda.

- Znała go wcześniej?

- Tak. - Pomrukując z wysiłku, Helen podważyła motyką korzeń, który uparcie tkwił w ziemi, a gdy wreszcie wyciągnęła go, wyprostowała się i spojrzała na swoje dzieło z satysfakcją. - Widzisz, byliśmy przyjaciółkami od serca: Kate, ja i Diana.

Jon rzucił jej bystre spojrzenie.

- Diana Parker - wyjaśniła Helen - później Fleetwood, żona Richarda. Nasza trójka trzymała się razem w szkole, a potem w życiu. Richard pochodzi ze starej wyspiarskiej rodziny i dla niego było oczywiste, że zaproponował Kate pracę w przychodni.

- Przecież pracowała w Londynie.

- Tak. Miała dobrą posadę w szpitalu Barts.

- To dlaczego zrezygnowała? - Jego głos był łagodny, a Helen, podniósłszy wzrok, nie mogła nie zauważyć ciekawości w szarych oczach gościa.

- Nie jestem pewna. - Wzruszyła ramionami. - Podejrzewam, że na jej decyzję wpłynęło parę czynników. Chyba zawsze tęskniła za wyspą dzieciństwa. Poza tym może w głębi duszy chciała być lekarzem rodzinnym, choć mnie się zawsze wydawało, że wołała robić specjalizację... - Urwała, jakby w obawie, że powie więcej, niż powinna.

- A nie sądzisz, że było coś jeszcze?

- Może... - Zawahała się. - Powiedzmy, że mam takie podejrzenie.

- Mężczyzna?

- Tego nie powiedziałam.

- Ale domyślasz się? - Nie dawał za wygraną. Wzruszyła ramionami.

- Był jakiś związek i, jak mi się wydaje, rzeczywiście skończył się dość nagle. Ale to wszystko, co wiem. - Wstała dość ociężale, zdjęła rękawice ogrodnicze i wytarła dłonie o brązowe spodnie.

Jon milczał chwilę.

- Jak myślisz, czy to dlatego jest taka nerwowa? Helen wpatrywała się w niego w najwyższym zdumieniu.

- Nerwowa? - wykrztusiła wreszcie. - Kate?

Skinął głową i znów patrzył w ten swój bezceremonialny, nieco irytujący sposób.

- Kate nie jest nerwowa - zaprotestowała. - To słowo zupełnie do niej nie pasuje.

- Jesteś tego absolutnie pewna? - Uniósł brwi.

- Absolutnie. Znam Kate od niepamiętnych czasów. Przyjaźnimy się. Nigdy, nawet w najtrudniejszych chwilach, nie traciła zimnej krwi. W klasie była tą, co ma tysiąc pomysłów na minutę i niemały tupet, tą, która wciąż wpadała w tarapaty...

- Mówisz o czasach szkolnych - przerwał - a to było dawno. Wiele lat temu.

- Masz rację. - Skrzywiła się. - Chyba więcej, niż byłabym skłonna przyznać, ale nie zauważyłam, żeby...

- Ludzie się zmieniają.

- No tak.

- Zmieniają się pod wpływem różnych wydarzeń.

- Na pewno coś bym zauważyła. W końcu dalej jesteśmy przyjaciółkami. Razem spędzamy wolny czas, chodzimy do tych samych znajomych, na te same przyjęcia.

- I możesz uczciwie powiedzieć, że nie zauważyłaś w niej żadnej zmiany?

- Zmiany? Nie wiem, czy to nie za mocne słowo. Kate chyba wydorosłała, jak zresztą my wszyscy. Miejmy nadzieję. Ale według ciebie ona jest nerwowa?

Skinął głową.

- Ciekawe, nie zauważyłam tego. Jest spokojniejsza niż dawniej, może nawet poważniejsza, ale...

- A jeżeli po prostu pewne sytuacje wytrącają ją z równowagi?

- Jakie?

- Na przykład obecność mężczyzny?

- Nic podobnego! - Helen roześmiała się głośno. - Kate nigdy nie brakowało odwagi.

- Nawet wobec obcych? - zapytał cicho. - Nieznajomych?

- Jon, dosyć tych zagadek. Musisz powiedzieć otwarcie, o co ci chodzi, bo ja inaczej nie zrozumieję...

- Bała się własnego cienia, kiedy u niej mieszkałem, zwłaszcza na początku.

- Co takiego? Nigdy nie widziałam, żeby Kate czegokolwiek się bała. - Zamilkła na chwilę. - Więc jak uważasz, skąd się to u niej bierze?

Wzruszył ramionami.

- Mogę się tylko domyślać, ale moim zdaniem ona ma jakieś przykre doświadczenia.

- Może coś w tym jest - rzekła Helen powoli. - Bo jeśli wróciła na wyspę z jakiegoś szczególnego powodu, to prawdopodobnie przez Alistaira.

- Alistaira?

- Boże! - Helen oniemiała z przerażenia. - Ale się wygadałam. Proszę, nie mów nikomu, dobrze?

- Nie ma sprawy. Więc kim był ten Alistair?

- Prawnikiem. Mieszkali razem w Londynie.

- Znałaś go?

- Tak. Przywiozła go na wyspę parę razy. Raz na obchody Tygodnia Cowes, a potem chyba na któreś święta.

- Jak ci się podobał?

- Wydawał się bardzo miły. Czarujący, dobrze ułożony, przystojny. Trudno mi powiedzieć coś więcej, skoro widziałam go raptem dwa razy. Ale chyba nie myślisz, że...

- Nic nie myślę, Helen. Po prostu zauważyłem w jej zachowaniu coś dziwnego i zastanawiałem się, jakie są tego przyczyny. Jestem dociekliwy, nazwij to chorobą zawodową...

Urwał, gdyż na podjazd wjechał nagle samochód.

- Kto to? - Helen zmrużyła oczy w jasnym, porannym słońcu. - Nie spodziewałam się dziś gości i nie przypominam sobie tego samochodu.

Chociaż... poczekaj chwilę... To Kate!

Jon wstał.

- Ciekawe, co ją sprowadza.

- Rzeczywiście, ciekawe.

Kate zahamowała, zgasiła silnik i wysiadła. Miała na sobie beżowe legginsy i brunatny sweter. Jej ciemne włosy lśniły w słońcu złocistym blaskiem.

- Co cię sprowadza w nasze skromne progi, Kate? - zapytała Helen.

- Przesyłka ekspresowa. Elizabeth właśnie oddała samochód.

Przyprowadziłam go, żeby jutro Jon miał czym pojechać do przychodni.

- To bardzo miło z twojej strony - przyznał Jon.

- Problem w tym, że będziesz mnie musiał potem odwiedzić do domu.

- Nie sądzę - wtrąciła niewinnie Helen - żeby to w ogóle był problem.

Nieco później, kiedy Jon i Kate odjechali do Cowes, Helen usiadła na krzeselku i odprowadzała ich wzrokiem. Z cichym westchnieniem uniosła twarz w stronę słońca i przez chwilę rozkoszowała się błogim ciepłem. Bo cóż jest na świecie piękniejszego niż pierwsze chwile prawdziwej wiosny?

Gdy warkot samochodu ucichł w oddali, Helen mimo woli zaczęła rozważać słowa Jona. Jeżeli przyjaciółce rzeczywiście przydarzyło się coś smutnego, z pewnością ona, Helen, dostrzegłaby smutek w jej oczach, nawet

gdyby Kate wolała zataić jego przyczynę. Kto jak kto, ale najserdeczniejsze przyjaciółki powinny się wspierać w trudnych chwilach. A skoro jedna, zaabsorbowana swoimi sprawami, nie widzi rozterek drugiej, to chyba nie najlepiej świadczy o ich przyjaźni.

Helen usiłowała cofnąć się myślą do czasów powrotu Kate na wyspę. Rzeczywiście była tym powrotem zdziwiona, bo, jak już wyjaśniła Jonowi, wszyscy zakładali, że Kate ma wyższe aspiracje. Wydawało się też, że zamierza założyć rodzinę z mężczyzną, który pojawił się wtedy u jej boku. Aż tu nagle Kate wraca, a zaraz potem okazuje się, że podjęła pracę w Centrum Fleetwooda i kupiła sobie mieszkanie w nowym domu tuż przy plaży w Cowes.

Helen usiłowała sobie przypomnieć, jakie wrażenie sprawiała wtedy przyjaciółka, ale pięć lat to szmat czasu, a ludzka pamięć jest nader zawodna. Na domiar złego zaraz po przybyciu Kate rozchorowała się Diana Fleetwood. Zmarła na białaczkę, a po jej śmierci długo nie mogły się z tym pogodzić. Potem z kolei zachorował ojciec Helen i dlatego miała niewiele czasu na rozmyślanie i obserwacje.

W każdym razie, jeśli Kate dręczyły jakieś wspomnienia, to przez bardzo długi czas nikt tego nie zauważył. Odkrycia musiał dopiero dokonać przybysz, obcy. Dziwnie się złożyło, że właśnie tym obcym Kate wykazywała niejakie zainteresowanie, choć od paru lat w jej życiu nie było nikogo. Helen zaczęła się zastanawiać, czy zainteresowanie to jest obopólne, ale ponieważ z domu akurat dobiegł odgłos otwieranych drzwi, postanowiła tylko, że teraz będzie pilnie śledzić rozwój sytuacji.

- Pamelko? Czy to ty, kochanie? Jesteś tu?

- Jestem tu, tato!

Weszła do domu. Jej matka miała na imię Pamela.

- To ostatni dzień wyścigu - oznajmiła Kate, gdy na szosie pojawiła się kolejna grupa kolarzy pochylonych nad kierownicami lśniących rowerów.

- Uważam, że nie powinno się organizować takich imprez na wąskich drogach - oświadczył Jon, gdy wreszcie w bezpiecznym miejscu zdołał wyminąć peleton.

- Racja. Ale to doroczna impreza, która przynosi rozgłos naszej wyspie i przyciąga turystów.

- Nie sądzę, żeby te okolice trzeba było specjalnie reklamować.

- Kiedyś nie trzeba było, bo ludzie nie mieli wielkich wymagań. Teraz, wobec konkurencji innych kurortów, musimy dbać o to, żeby o wyspie było głośno, bo inaczej nikt nie będzie chciał tu przyjeżdżać.

- Podejrzewam, że żyjecie głównie z turystyki? - zapytał parę minut później, gdy zbliżali się do łagodnego wzniesienia.

- Owszem. - Skinęła głową. - Oczywiście, rozwija się u nas przemysł lotniczy, szutniczy i mechaniczny, jest też wiele zakładów rzemieślniczych, które chyba przeżywają swoją drugą młodość, ale turystyka wciąż pozostaje głównym źródłem naszych dochodów. Jak zapewne zauważyłeś, mamy tu dużo emerytów, więc sporo jest domów spokojnej starości. A tu co się dzieje?

Gdy znaleźli się u szczytu wzgórza, jadące przed nimi samochody nagle stanęły.

- Chyba jakiś wypadek. - Jon wychylił się przez okno.

- Chodźmy sprawdzić - zaproponowała Kate.

Błyskawicznie wysiedli i pobiegli szosą.

Na pierwszy rzut oka właściwie nie było wiadomo, co się stało.

Poprzewracane rowery leżały bezładnie na drodze, koła wciąż obracały się w powietrzu. W poprzek szosy stał czerwony samochód, a na jego masce opierały się resztki składanego stolika, który najwyraźniej służył jako bufet dla kolarzy. Na samochodzie i na ziemi poniewierały się plastikowe kubki, kartoniki z napojem pomarańczowym i butelki wody mineralnej.

Kilkoro rannych, niewątpliwie oszołomionych, siedziało lub leżało na drodze. Teraz zaczęli wysiadać inni kierowcy.

- Czy ktoś wezwał pogotowie? - zapytała Kate. Nikt się nie odezwał, więc spojrzała na Jona. - Mam telefon komórkowy w samochodzie.

- Zgoda. Ty zadzwoń, a ja zajmę się organizacją.

Pędząc z powrotem do samochodu, słyszała, jak namawiał jednego z kierowców do kierowania ruchem.

Wezwała policję i pogotowie, podała dokładne miejsce wypadku, po czym pobiegła z powrotem, żeby pomóc Jonowi w udzielaniu pierwszej pomocy.

- Trzej kolarze ranni, jeden ciężko - relacjonował szybko. - Kierowca samochodu też ranny, pasażerka w ciężkim szoku. Widzisz tego biedaka pod bufetem?

- Oczywiście.

Kate wśliznęła się pod stół. Chłopak leżał na ziemi, z nogami pod samochodem. Był bardzo blady i chyba nieprzytomny. Delikatnie nacisnęła palcami tętnicę szyjną, sprawdzając puls. Z początku sądziła, że ranny nie żyje, że pojazd zmiążdżył go swym ciężarem, po chwili jednak wyczuła słabe tętno. Zajrzała pod samochód i stwierdziła, że chłopak ma przygniecione nogi.

Wydostała się spod stołu i utorowała sobie drogę do drzwi kierowcy. Starszy pan, który prowadził samochód, siedział z głową opartą na kierownicy. Tknięta złym przeczuciem, poszukała wzrokiem Jona. Klęczał na ziemi obok jednego z kolarzy i wykonywał masaż serca. Widać nastąpiło zatrzymanie krążenia i pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać.

Gdzieś rozległ się kobiecy krzyk, ktoś coś powiedział podniesionym głosem. Nie było czasu do namysłu, bo z drugiej strony samochodu dobiegł jęk. Kate szybko podjęła decyzję. Siedząca na miejscu dla pasażera starsza kobieta wpatrywała się przed siebie nie widzącymi oczami. Kate otworzyła drzwi i chwyciła kobietę za rękę.

- Proszę pani! - powiedziała. - Musi pani wysiąść.

Kobieta jednak wciąż wpatrywała się w pole po drugiej stronie rzeki. Kate obejrzała się przez ramię. Jeden z kierowców biegł w jej kierunku.

- Proszę mi pomóc - poprosiła.

- Może lepiej jej nie ruszać? - Nieznajomy najwyraźniej uznał ją za osobę niekompetentną.

- Jestem lekarzem.

Dzięki temu Kate chyba zyskała niejaki autorytet, bo wkrótce kobieta znalazła się na trawiastym poboczu.

- Niech ktoś się nią zajmie - komenderowała Kate, stwierdziwszy, że pasażerka nie odniosła widocznych obrażeń.

Mężczyzna skinął głową i przywołał ręką swą towarzyszkę, ta zaś szybko zdjęła ocieplaną kurtkę i otuliła nią kobietę. Tymczasem Kate zajęła się kierowcą. Już miała ponownie poprosić nieznajomego o pomoc, gdy zdała sobie sprawę, że u jej boku stoi Jon.

- A kolarz...?

- Oddycha. Wyciągnijmy tego.

Kierowca był roslym mężczyzną i trzeba było wiele wysiłku, by wydobyć go z ciasnej kabiny. Wreszcie ułożyli go na ziemi. Tym razem to Jon sprawdził puls, on też zbadał reakcje źrenic, po czym podniósł wzrok i pokręcił głową.

- Obawiam się, że za późno - powiedział cicho.

I znów to Jon odkrył, że z samochodu wycieka benzyna.

- Nie radziłbym włączać silnika, chyba, że życie wam niemiłe. Pewnie pękła pompka paliwowa albo któryś z przewodów.

- Trzeba wydostać chłopaka.

- Popchniemy samochód. - Jon spojrzał na zgromadzonych wokół ludzi. - Można prosić o pomoc?

W mgnieniu oka zgłosiło się dwóch ochotników i mężczyzna, który wyciągał z kabiny pasażerkę. Wspólnym wysiłkiem zdołali podnieść przód pojazdu i odepchnąć samochód.

Kate znów podpełzła do nieruchomej postaci chłopaka i w tej samej chwili z oddali dobiegło wycie syren.

Chłopak mocno krwawił z otwartej rany poniżej prawego kolana. Jak na złość ani ona sama, ani Jon nie mieli dziś dyżuru i nie wzięli z sobą toreb lekarskich, trzeba więc było poszukać czegoś, czym można by zatamować krew.

Na szczęście Jon zdążył już ocenić sytuację. Jednym szarpnięciem zdjął dżinsową kurtkę, a drugim ściągnął białą koszulkę. Złożył ją w gruby tampon i wręczył Kate, która natychmiast przycisnęła ją do rany.

Chłopak zamrugnął powiekami.

- Jesteśmy przy tobie. - Jon klęknął obok, odgarniając wilgotne włosy z czoła rannego. - Będzie dobrze.

Kate niejasno zdawała sobie sprawę, że wokół wzmaga się hałas i ruch, a po chwili ktoś stanął obok, zasłaniając słońce.

- A to dopiero! - odezwał się jakiś głos. - Co pani tu robi, doktor Chapman?

Obejrząwszy się przez ramię, stwierdziła, że przyjechała karetka, a jeden z sanitariuszy wpatruje się w nią ze zdumieniem.

- Ja tylko tędy przejeżdżałam, Dave!

- A już myślałem, że startowała pani w wyścigu.

- Nie uprawiam niebezpiecznych sportów.

- Bardzo słusznie. - Dave ukląkł i otworzył torbę. - Więc co się tu stało, pani doktor?

- Mamy chłopaka przygniecionego samochodem - uprzedził ją Jon. - Paskudna rana nogi. Jest kierowca z zatrzymaniem akcji serca. Niestety, nic się nie da zrobić. Poza tym pasażerka w ciężkim szoku, kolarz z poważnym urazem głowy i klatki piersiowej i dwóch łez rannych. Aha, jest jeszcze dziewczyna ze skaleczeniami i zdartą skórą.

- Nie pańska sprawa! - Sanitariusz zmierzył go piorunującym wzrokiem. - Doktor Kildare się znalazł.

- Och, Dave, przepraszam - wtrąciła Kate. - To jest doktor Jon Hammond, zastępuje Paula. Jon, to Dave Morey i jego kolega, Pete Steel. - Skinęła w stronę drugiego sanitariusza, pochylonego nad rannym kolarzem.

- Rozumiem. - Dave uśmiechnął się lekko. - Miło mi pana poznać. Już myślałem, że znowu ktoś się mądrzy. No dobra - rozejrzył się. - Najpierw tlen, prawda?

- Potrzebujemy więcej karetek - zauważył Jon.

- Już jedzie następna - uspokoił go Dave, a ponieważ za ich plecami zahamował w pełnym pędzie radiowóz, dodał: - Jest i policja. Lepiej późno niż wcale.

Dwóch policjantów przeszło na ich stronę jezdni.

- Tym razem ja byłem wcześniej - Dave już szedł do karetki po tlen i sprzęt medyczny.

Służby ratunkowe przystąpiły do pracy. Policjanci wezwali przez radio straż pożarną, gdyż benzynę trzeba było zneutralizować. Przyjechała druga karetka i po paru minutach wszyscy ranni byli gotowi do drogi.

- Możemy wziąć parę osób do samochodu - zaproponowała Kate.

- Świetnie - ucieszył się Pete. - Jest jeszcze dwoje kolarzy, którzy powinni jechać do ambulatorium.

- Nie masz nic przeciwko temu, Jon?

- Absolutnie nie. O ile oczywiście w izbie przyjęć nie mają nic przeciw roznegliżowanym kierowcom.

- Z pewnością widywali gorsze przypadki.

Nie, nie można powiedzieć, żeby bez koszulki wyglądał gorzej niż w koszulce.

Pozostawiając policji usuwanie zniszczonych rowerów, Kate i Jon, wraz z dwojgiem rannych, wrócili do samochodu i odjechali za karetkami, które na sygnale ruszyły do Shalbrooke. Nie ujechali kilometra, gdy minął ich wóz strażacki pędzący na miejsce wypadku.

Jak się okazało, pasażerowie, młody chłopak i jego dziewczyna, przyjechali na wyspę specjalnie po to, by wziąć udział w wyścigu. Oboje chyba byli w szoku i w drodze do szpitala mówili niewiele. Chłopak uderzył się w głowę, spadając z roweru, i prawdopodobnie doznał lekkiego wstrząsu mózgu, a dziewczyna miała skaleczenia na nogach i zdartą skórę na łokciu i skroni.

Gdy dotarli do Shalbrooke, Kate kazała Jonowi stanąć w zatoczce przeznaczonej dla karettek.

- Wiem, że jest niedziela, ale w izbie przyjęć może być spory ruch.

Nie myliła się. W ambulatorium panował tłok nie mniejszy niż w dni robocze. Kiedy podeszli do rejestracji, okazało się, że dziś dyżuruje Georgina Merrick.

- Cześć, Georgina - odezwała się Kate. - Mamy pacjentów z wypadku drogowego.

- Cześć, Kate! - Pielęgniarka była nie mniej zaskoczona niż Dave.

- Zdarzyło nam się spełnić dobry uczynek. - Kate odwróciła się do Jona. - A przy okazji, to jest Jon Hammond, który zastępuje Paula. Jon, to Georgina Merrick.

Georgina rzuciła Jonowi zaciekawione spojrzenie.

- Miło mi. Wiele o panu słyszałam. - Przeniosła wzrok na Kate, która zastanawiała się, co Georgina mogła o nim słyszeć. - Podobno wynajmuje pan mieszkanie u Helen Turner?

- Owszem, od wczoraj. - Jon wyciągnął rękę, uśmiechając się ciepło. - Ja o pani też sporo słyszałem.

- Naprawdę? Co mianowicie?

- Że po raz drugi zostanie pani żoną swojego męża.

- No tak... - Georgina stanęła w pąsach.

- Uważam, że to naprawdę cudownie. Dotychczas nie znałem nikogo, kto zdobyłby się na coś takiego.

Kate uśmiechnęła się. Złożywszy odpowiedzialność za ofiary wypadku w ręce pielęgniarek, oboje z Jonem wyszli ze szpitala. Po drodze minęli Dave'a i Pete'a, którzy odnosili do karetki koce i nosze.

- Dzięki za pomoc! - krzyknął Dave.

- Cała przyjemność po naszej stronie - odparł Jon, a Kate uniosła rękę na pożegnanie.

Jon odwiózł ją do domu, zatrzymał samochód nad brzegiem morza i zgasił silnik. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

- Brakowało ci mnie?

- Słucham? - Teraz mogła już tylko utkwąć w jego twarzy zdumione spojrzenie.

- Dziś w nocy. Spałaś spokojnie beze mnie?

- No, muszę przyznać, że to było dość dziwne uczucie. Przyzwyczyłam się troszkę do ciebie, do tego, że ktoś jest w domu. - Poprawiła się natychmiast, nie chcąc, by odniósł niewłaściwe wrażenie. - Dobrze ci się mieszka u Helen? - zapytała, zanim zdążył zadać kolejne kłopotliwe pytanie.

- O tak - stwierdził beztrąsko - nie narzekam. Chociaż muszę powiedzieć...

- Co? - wtrąciła szybko.

- Że czegoś mi chyba brakuje.

- Naprawdę? - zapytała równie swobodnie i zanim zdążył rozwinąć temat, dodała: - Zapewne morza.

- Morza? - Nie mogła nie zauważyć błysku w jego oczach.

- Tak - odparła prędko, otwierając drzwiczki. - Bardzo szybko przyzwyczajamy się do szumu fal. Gdy go zabraknie, mamy poczucie pustki - dokończyła, wysiadając z samochodu.

- Doprawdy? - Pochylił się nad fotelem pasażera i wyjrzał przez otwarte okno. - Człowiek uczy się całe życie. Kiedy ogarnie mnie uczucie pustki, będę wiedział dlaczego.

Uśmiechnął się, pożegnał i ruszył, a Kate miała uczucie, że znów z niej żartuje. Stała i patrzyła, jak samochód znika w oddali, i uznała, że już nie boi się spotkać go w przychodni. Co więcej, nie może się doczekać chwili, kiedy pojawi się w pracy.

Trzeba przyznać, że ten człowiek coś w sobie ma. Im bliżej go poznawała, tym głębiej uświadamiała sobie, jak niesprawiedliwie oceniła go przy pierwszym spotkaniu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy Kate przyjechała do przychodni, samochód Jona stał już na parkingu. W rejestracji wrzało jak w ulu; dziewczyny ogarnęło ożywienie niespotykane w zwykłe poniedziałkowe poranki.

- Dzień dobry, doktor Chapman! - zawołała Claire.

- Dzień dobry, Claire.

Kate postanowiła zachować dystans. Recepcjonistka znana była z tego, że lubiła robić z każdej sprawy sensację.

- Przyjechał doktor Hammond - szepnęła Claire z miną pełną szacunku.

- Dobrze.

- Jest w gabinecie doktora Wooldridge'a. Właśnie zaniósłam mu pocztę i kawę.

- Dziwne, że nie kazał wam mówić do siebie po imieniu - rzekła cierpko Kate, przeglądając pocztę.

- Owszem, proponował to - przyznała z powagą Claire. Kate spojrzała na nią ostro.

- Ale to nie byłoby właściwe, prawda, pani doktor? To znaczy, tak się nie mówi, przynajmniej nie w przychodni.

- Zgadza się, Claire. Tak się nie mówi.

- Oczywiście poza przychodnią to zupełnie co innego - ciągnęła dziewczyna - jak zauważył doktor Hammond. Dlatego prywatnie będę mówiła do niego Jon - dodała z rozmarzoną miną.

Kate postanowiła wycofać się do swego gabinetu. Ledwo zdążyła zdjąć żakiet, włączyć komputer i usiąść przy biurku, gdy do jej drzwi zapukała Elizabeth French.

- Cześć! - Kate powitała ją uśmiechem. - Jak nasz nowy nabytek? Podobno już się zainstalował?

- O tak. Czuje się jak u siebie w domu. Dziewczyny są nim zauroczone.

- Zauważyłam. Mnie jakoś nikt nie przyniósł kawy.

- Bo nie masz blond włosów i głodnego spojrzenia, a poza tym tak się nieszczęśliwie złożyło, że jesteś nie tej płci, co trzeba.

- Jak się ubrał? - Kate nagle podniosła wzrok.

- Jak to? - Elizabeth zmarszczyła brwi.

- Bałam się, że zechce przyjmować pacjentów tak, jak przyjechał z buszu...

- Och, ma nowe ubranie, bez zarzutu.

- Z radością to słyszę.

Kate usiłowała wyobrazić sobie Jona w szarym garniturze, nowej białej koszuli i w krawacie, ale próba zakończyła się sromotną klęską. Wizja Jona Hammonda w oficjalnym stroju, choć niezbyt realna, dziwnie pobudzała wyobraźnię. Ciekawe, jak wyglądałyby te szerokie ramiona w dopasowanej marynarce, jak ogorzała cera i spłowiałe od słońca włosy kontrastowałyby z oślepiającą bielą koszuli...

Ale nie czas na dumanie. Elizabeth zmieniła temat i zaczęła omawiać wyniki morfologii, które dostarczono z poranną pocztą. Kate nie potrafiła się jednak skupić, i tak było przez cały dzień. Z trudem opanowywała roztargnienie, przyjmując pacjentów, godziny wlokły się w nieskończoność.

Okazało się, że nie potrafi przestać myśleć o Jonie. Prawdę powiedziawszy, w tej chwili pochłaniało ją jedno: on jest tutaj, w tym budynku, niemal za ścianą. W gabinecie Paula, przy biurku Paula przyjmuje pacjentów Paula.

Pomyślałby ktoś, że się zakochała! Śmieszne! Oni są jak dwa bieguny, a poza tym jaki by to miało sens?

Załóżmy, że ona zdobędzie się na odwagę, zaangażuje się i nauczy znów kochać, a on potem zniknie z jej życia i wróci do Afryki, bo tak niewątpliwie uczyni po powrocie Paula. Co wtedy? Rozstanie z Alistairem było wielkim ciosem, ale to co innego.

Jon Hammond to nie Alistair, jednak stąd wcale nie wynika, że nie pokocha go tak jak Alistaira i że nie będzie zdruzgotana, jeśli ich związek się rozpadnie z jakiegokolwiek przyczyny.

Z drugiej strony, skąd to przypuszczenie, że Jon choć trochę się nią interesuje? Czy cokolwiek na to wskazuje? Kolacja, którą dla niej ugotował? Zapewne z wdzięczności. Spojrzenie, jakie czasem do niej kierował, albo ten żartobliwy, niesymetryczny uśmiech? Jon zapewne obdarza nim wszystkie kobiety. Claire najwyraźniej jest pod jego wrażeniem i teraz prawdopodobnie siedzi w rejestracji pochłonięta podobnymi myślami, rozpaczliwie usiłując wymyślić jakiś pretekst, żeby pójść do gabinetu Paula Wooldridge'a.

Drgnęła, gdy niespodziewanie zadzwonił telefon.

- Pani doktor? - odezwała się Jackie. - Czy wie pani, że czeka jeszcze trzech pacjentów?

- Co? A tak, oczywiście.

- Och, przepraszam. Nie byliśmy pewne, bo nie wzywała pani nikogo przez ostatnie piętnaście minut.

- Poproś następnego, Jackie - powiedziała szorstko.

- Tak, pani doktor, ale akurat dzwoni Helen Turner. Pyta, czy mogłaby zamienić z panią parę słów.

- Jasne. Łącz.

- Cześć, Kate! Przykro mi, że cię niepokoję - usłyszała w słuchawce głos przyjaciółki. - Czy już przyjęłaś pacjentów?

- Niezupełnie. Mam pewne opóźnienie.

- Och, przepraszam. Myślałam, że już skończyłaś. Może zadzwonię później?

- Nie, Helen - odparła słabym głosem. - Nic się nie stało. Po prostu trudno mi dzisiaj zorganizować sobie pracę.

- No to nie będę przeszkadzać. Chciałam tylko zapytać, czy przyjdiesz w sobotę na przyjęcie, które organizujemy w szpitalu na cześć Georginy i Merricka.

- Z przyjemnością. Dziękuję. Wczoraj widziałam się z Georginą i muszę przyznać, że wyglądała na szczęśliwą.

- Bo jest szczęśliwa. Mówiła mi o tym spotkaniu. Podobno braliście z Jonem udział w akcji ratunkowej?

- Czasami tak się zdarza, że jest się na właściwym miejscu we właściwym czasie. A przy okazji, czy słyszałaś coś o chłopaku przygniecionym przez samochód?

- Ma się dobrze, jeśli nie liczyć paru złamań. - Helen milczała chwilę. - Gorzej z kolarzem, nie odratowali go.

- To okropne. Czy Jon o tym wie?

- Nie. Sama dowiedziałam się dopiero dzisiaj rano, kiedy przyszedłam na dyżur.

- Miał zatrzymanie krążenia tuż po wypadku. Jon robił mu masaż serca.

- Andrew Merrick mówi, że reanimowano go jeszcze dwukrotnie. Za drugim razem nie udało się. Powiedz Jonowi. A propos, jak mu idzie?

- Nie wiem. Dzisiaj jeszcze go nie widziałam, ale jeśli pacjentów oczarował tak jak dziewczyny z rejestracji, to da sobie radę znakomicie.

Helen roześmiała się.

- Fajny facet. Może i mnie oczaruje.

- Wątpię, czy Richard by to aprobował.

- Pewnie nie, chociaż może troszkę bardziej by mnie cenił. No, ale teraz obie musimy wrócić do pracy. Więc mogę na ciebie liczyć w sobotę wieczorem? Chcemy w przybliżeniu wiedzieć, ile osób przyjdzie.

- Będę na pewno.

Odłożyła słuchawkę i miała nacisnąć dzwonek, lecz wiedzona nagłym impulsem wstała, otworzyła drzwi i zdecydowanym krokiem udała się do gabinetu Paula. Zapukała i weszła, właściwie nie czekając na zaproszenie.

Jon siedział przy biurku, odwrócony twarzą do okna, podziwiając panoramę pól na tyłach przychodni. Gdy ujrzał Kate, na jego twarzy odmalowało się jakieś uczucie. Trudno powiedzieć, jakie, ale zapewne przyjemne.

- Już myślałem, że to jeszcze jeden pacjent.

- Nie, to tylko ja. Właśnie dzwoniła Helen. Pomyślałam sobie, że pewnie chciałbyś o tym wiedzieć...

- Coś nie w porządku? - spytał.

- Och, nie. Po prostu... Właściwie nic. - Spodziewała się zobaczyć jego nowe ubranie, natomiast nie przeczuwała, że będzie to po prostu para nowych dżinsów i ciemnozielona bluza bez kołnierzyka, włożona na trykotową koszulkę

- Myślałaś, że przyjdę w białej koszuli i szarym garniturze, prawda? - Czytał w jej myślach z ogromną łatwością.

- Nie, oczywiście, że nie...

- Oj tak. Przyznaj się.

- No... - Na próżno szukała taktownej odpowiedzi.

- Przykro mi, Kate - rzekł z uśmiechem. - Garniturów nie noszę i nosić nie będę. Poza tym co zrobiłbym z garniturem w Tanzanii?

Na myśl o jego powrocie do Afryki ogarnął ją żal.

- Posłuchaj, przyszedłam ci powiedzieć o tym kolarzu... Podobno jeszcze dwa razy go reanimowali, ale się nie udało.

- Nic dziwnego. - Spoważniał. - Był w kiepskim stanie. Samochód musiał jechać z dużą szybkością.

- A w ogóle jak ci poszło?

- Całkiem nieźle. Pacjenci byli nieco zaskoczeni moimi metodami pracy, ale w końcu chyba troszkę mnie polubili. W każdym razie wychodzili zadowoleni. O ile wiem, w południe mamy zebranie?

- Och, zupełnie zapomniałam. Lepiej przyjmę ostatnich pacjentów. Richard dostaje szału, kiedy ktoś się spóźnia. - Odwróciła się do drzwi.

- Chwileczkę!

- Tak?

- Czy Helen wspomniała coś o sobotnim wieczorze? Przez chwilę nie rozumiała, o którą sobotę chodzi.

- Mówiła, że przyjdiesz - powiedział.

- Chodzi ci o przyjęcie na cześć Georginy i Andrew? - zapytała zdumiona.

- Oczywiście. A o co? - Zrobił figlarną minę.

- Ach, nic. - Wprawił ją w zakłopotanie. Było rzeczą naturalną, że została zaproszona na przyjęcie; w końcu od dawna zna państwa młodych. Ale czy to nie dziwne, że na ich ślubie będzie również Jon Hammond?

I znów czytał w jej myślach.

- To miło ze strony Helen, że mnie zaprosiła. Powiedziała, że będę miał okazję poznać tutejszych ludzi.

- No tak. Prawda. - Nagle stwierdziła, że cieszy się perspektywą spotkania go na przyjęciu, ale przecież nie powinna mu tego okazywać, więc mruknęła, że naprawdę musi już iść, i szybkim krokiem opuściła gabinet.

Na zebranie przybyła jako ostatnia, wskutek czego została zgromiona spojrzeniem przez szefa.

- Przepraszam - szepnęła i zajęła miejsce przy stole pomiędzy Martinem Hoganem a Kay Shelby, jedną z pielęgniarek.

- No dobrze - powiedział Richard. - Skoro jest już Kate, to możemy zaczynać. Najpierw sprawy ogólne, a potem problem pewnej rodziny. - Potoczył wzrokiem po zebranych, a ponieważ wszyscy skinęli przyzwalająco głowami, przystąpił do rzeczy.

W tej samej chwili Kate uświadomiła sobie, że Jon siedzi dokładnie naprzeciwko niej. Chyba poczuł na sobie jej spojrzenie, bo podniósł wzrok i popatrzył jej w oczy. Szybko odwróciła głowę.

- Przede wszystkim chciałbym oficjalnie powitać Jona Hammonda. Wiem, że dołożycie starań, żeby mile nas wspominał. Jon, mam nadzieję, że będziesz się u nas dobrze czuł.

- Dzięki. - Jon skinął głową. - Na pewno mi się tu spodoba.

- O ile wiem, problem mieszkania został już rozwiązany?

- Tak, Kate go rozwiązała. - Jon spojrzał na koleżankę, której nagle zrobiło się gorąco.

- Właściwie nie ja - bąknęła. - To zasługa Helen, naprawdę.

- Masz do dyspozycji samochód - ciągnął Richard, a gdy Jon kiwnął głową w odpowiedzi, dodał: - Zasadniczo przejmujesz pacjentów Paula, jednak on brał więcej dyżurów niż inni, więc zgodziliśmy się odciążyć cię nieco. Nie mamy prawa oczekiwać, że podołasz tylu obowiązkom, skoro nie znasz okolicy, a co dopiero mieszkańców. A poza tym zaczyna się sezon turystyczny, co zawsze się wiąże ze wzrostem liczby pacjentów. Turystów przyjmujemy wszyscy. Czy masz coś przeciw temu, Jon?

- Oczywiście, że nie. - Przez chwilę milczał. - Muszę jednak wyznać, że jest coś, co spędza mi sen z powiek.

Kate gwałtownie podniosła wzrok, zastanawiając się, cóż takiego zakłóca jego stoicki spokój.

- Mianowicie?

- Wiecie - odparł niespiesznie - w Tanzanii nie było za wiele komputerów.

- A ile było? - roześmiał się Martin Hogan.

- Właściwie to nie przypominam sobie, żeby widział choć jeden - przyznał Jon. - Dlatego nie mam pojęcia, jak na nich pracować.

- Nie przejmuj się - odezwała się nagle Elizabeth. - Jest tu parę osób, które też jeszcze nie posiadały tej umiejętności.

Zebrani wybuchnęli śmiechem.

- Całkiem możliwe - powiedział Richard, uciszając kolegów gestem - ale my przynajmniej widujemy ten sprzęt od czasu do czasu, natomiast Jon wcale nie miał z nim do czynienia. Czy ktoś zechciałby nauczyć go podstaw?

- Ja! - Kate usłyszała swój własny głos.

- Znakomicie, dzięki. Jeszcze raz witam cię u nas, Jon. A teraz sprawy zawodowe... - Urwał i spojrzał w notatki. - Otrzymałem parę ogólnych informacji dotyczących finansowania naszej działalności.

Kate podniosła wzrok i stwierdziła, że Jon znów na nią patrzy. Podziękował jej ruchem warg. Zaczerwieniła się lekko, zakłopotana. Nie bardzo wiedziała, co skłoniło ją do złożenia propozycji. Prawdę powiedziawszy, sama spędziła wiele godzin na nauce obsługi komputera i wciąż nie uważała się za eksperta w tej dziedzinie. Poza tym miała chyba dość pracy i bynajmniej nie narzekała na nadmiar czasu.

Po omówieniu zasad finansowania przeszli do podziału obowiązków, z którego jeszcze nikt nigdy nie był zadowolony. Potem ustalili godziny pracy, Richard opowiedział o swej pracy w szpitalu Shalbrooke, gdzie zastępował tamtejszego anestezjologa, po czym wywiązała się dyskusja nad nową organizacją nocnych dyżurów.

- Ja osobiście czarno to widzę. - Martin zrobił posępną minę. - Mówisz: dwóch lekarzy na całą wyspę?

Richard skinął głową.

- Dyżurujemy w przychodni, wezwania przyjmuje centrala, a każdy lekarz dostaje do dyspozycji kierowcę i samochód z systemem ostrzegawczym.

- Aha! - Martin bynajmniej nie wyglądał na przekonanego.

- Jaką powierzchnię ma wyspa? - spytał Jon.

- Około czterystu kilometrów kwadratowych - wyjaśnił Martin - czyli niemało. W najszerszym miejscu ma trzydzieści sześć kilometrów.

- Jednak nie są to odległości, do których jesteś przyzwyczajony, Jon - wtrąciła Kate z lekkim uśmiechem, przypominając sobie, jak daleko trzeba chodzić w Afryce czy to po wodę, czy do lekarza.

- Nie myśl tylko, że u nas jest łatwiej - wtrącił Martin. - Z całym szacunkiem, Jon, ale twoi pacjenci nie mają wielkich wymagań. Natomiast tutaj trzeba jechać na każde wezwanie, o każdej porze dnia i nocy.

- I dalej tak będzie - dodała Kay Shelby.

- Ten system się nie sprawdzi - mruknął Martin.

- Czas pokaże - stwierdził Richard.

- Jeśli chodzi o mnie, to nie pogniewam się, jeżeli nie będę musiała wychodzić z domu nocą - oznajmiła Kate.

Rozległ się szmer aprobaty.

- Nie sądzę, żeby tu kwitła przestępczość - zauważył Jon.

- Wiesz, kiedyś w ogóle się nie bałam - odparła Kate - ale ostatnio czuję się troszkę niepewnie.

- A jak było w buszu, Jon? - spytała Elizabeth.

- Czasami groźnie - odparł i zebrani spojrzeli na niego z zainteresowaniem. - Zagrożenie mógłby stanowić szarżujący nosorożec czy głodny lew, a nie odurzony narkotykami człowiek. W okolicach naszej stacji nikt na nikogo nie czyhał. Tam ludzie są bardzo zadowoleni ze swojego losu, a do tego mają niewzruszone zasady i dyscyplinę wewnętrzną. Jednak gdy stykają się z cywilizacją Zachodu, zaczynają oczekiwać coraz więcej, bo poznają inny styl życia. Wtedy pojawiają się kłopoty.

- Czy pojedziesz tam jeszcze? - spytała Kay, która pochodziła z Karaibów.

- O, tak! Miło jest wrócić do rodzinnego kraju, ale Afryka to moja druga ojczyzna.

Kate przełknęła ślinę, a Richard odchrząknął i ponownie zabrał głos:

- To tyle, jeśli chodzi o sprawy organizacyjne. Pozostał nam do omówienia jeszcze jeden problem. Mówię o rodzinie Evertonów z listy Paula. Jon, najprawdopodobniej ty będziesz miał z nimi do czynienia. Przez parę ostatnich tygodni często widywaliśmy członków tej rodziny, czy to w przychodni, czy w domu. Kate, czy mogę cię prosić, żebyś przedstawiła sytuację Jonowi, a nam wszystkim przypomniała, co się teraz u nich dzieje?

Elizabeth podała jej teczkę.

- Rodzina Evertonów - zaczęła Kate - składa się z siedmiorga osób: ojca, matki i pięciorga dzieci w wieku od dwóch do siedemnastu lat. Denis Everton pracuje dorywczo, dwukrotnie był karany. Ostatnio znowu trafił do więzienia. Z kolei Marion Everton jest alkoholiczką. Po urodzeniu najmłodszego dziecka poddała się leczeniu i przez jakiś czas nie piła, jednak odkąd mąż został aresztowany, znów zagląda do kieliszka. Najstarsza córka niedawno urodziła dziecko, czasami mieszka u rodziców, a czasami u swojego chłopaka. Dwaj starsi synowie, w wieku dwunastu i czternastu lat, wciąż mają konflikty z prawem, a młodszymi też już opiekuje się kurator.

- Czy dochodziło do przemocy? - zapytał Jon.

- Nic nam o tym nie wiadomo.

- Więc co mamy z tym fantem zrobić?

- Nic. To zadanie opieki społecznej, ale chyba wszyscy musimy wiedzieć, co się tam dzieje.

Obecni pokiwali głowami, a Richard zakończył zebranie.

- Dzięki, że zgodziłaś się mi pomóc - powiedział Jon, gdy sala opustoszała.

- Nie ma za co - odparła. - Powinniśmy byli pomyśleć o tym wcześniej.

Nikt nie przewidział, że możesz mieć kłopoty z obsługą komputera.

- Powiedz mi, czy Martin zawsze jest czarnowidzem?

- Nie, tylko czasami.

- Tak mówi, jakby lubił nocne wizyty.

- Może i lubi... - Roześmiała się cicho.

- Nie rozumiem, jak w ogóle można lubić, kiedy ktoś wyciąga cię z łóżka w środku nocy...

- Nie znasz jego żony, Patsy - odrzekła Kate tajemniczo, i po chwili zakryła usta ręką. - Nic nie słyszałeś!

Jon nie krył rozbawienia.

- Wciąż słyszę zagadkowe uwagi na jej temat. Naprawdę jest aż tak źle?

- Zobaczysz w sobotę.

- Będę się miał na baczności. A kiedy znajdziesz czas, żeby pokazać mi te wasze komputery?

Kate spojrzała na zegarek.

- Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj. Może teraz? W imię przyjaźni nie zjem lunchu.

- Nie spodziewałem się, że spotkam się z takim poświęceniem - powiedział Jon i wyszedł za nią z sali.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Musisz zacząć od podstaw - oznajmił. - Jak już powiedziałem, nie mam pojęcia o tych rzeczach.

Kate wpisała swoje hasło i czekała, aż uruchomi się program.

- Zakładam, że znasz główne zasady?

- Wolałbym je usłyszeć jeszcze raz. - Usiadł blisko niej i pochylił do przodu, wpatrzony w ekran.

- To po prostu magazyn do przechowywania danych, innymi słowy pamięć.

- Pewnie coś takiego jak ludzki mózg.

- Tak, ale łatwiej przewidzieć, co zrobi. Mózg zapomina, a maszyna nie. Przede wszystkim trzeba zrozumieć, że owszem, komputer zapamiętuje dane tak jak człowiek, ale na tym podobieństwa się kończą. Oczywiście, nie potrafi myśleć, a w pamięci przechowuje tylko to, co mu się wpisze.

- Słyszałem mrożące krew w żyłach opowieści o awariach takiego sprzętu. Podobno w jednej chwili można stracić wszystko - oznajmił ponuro.

- Czasami tak się zdarza, dlatego dane na wszelki wypadek kopiujemy na dyskietki.

- Co to za słowo, które napisałaś przed chwilą?

- Moje hasło. Coś w rodzaju klucza, dzięki któremu można uruchomić system.

- Czy w przychodni macie sieć?

- Tak.

- I mogę przesyłać ci informacje z mojego komputera?

- Możesz.

- Zdumiewające.

Nagle odniosła wrażenie, że Jon tylko udaje początkującego, i tylko sprawdza, kiedy ona się na tym pozna. Tymczasem jednak nie wyglądał na rozbawionego i wpatrywał się pilnie w monitor.

- Co właściwie jest w pamięci?

- Szczegółowe informacje o pacjentach zarejestrowanych w przychodni: nazwiska, adresy, wiek, zawód, a do tego przepisane leki, krótki opis przebytych chorób i operacji. Więc jeśli na przykład przychodzi pacjent skarżący się na dolegliwości, które wystąpiły już dwa lata temu, to można wywołać jego listę leków, o tak... - nacisnęła parę klawiszy - i sprawdzić, co mu przepisano. Jeżeli leczenie okazało się skuteczne i chcesz powtórzyć tę samą terapię, możesz od razu wydrukować recepty.

- Jestem pod wrażeniem.

- Co pomyśleliby sobie twoi przyjaciele z buszu?

- Trudno powiedzieć. Pewnie posądziliby cię o czary.

- Jaką religię wyznają? - spytała z zainteresowaniem.

- W większości chrześcijańską. Jak to często bywa, najpierw ustanowiono misję, a potem dopiero naszą stację, ale przesady wciąż pokutują, zwłaszcza głęboko w buszu.

- Tymi maszynami nie da się nic wyczarować. - Uśmiechnęła się. - Komputery mają wielkie możliwości, ale magią bym tego nie nazwała, nawet gdyby poniosła mnie wyobraźnia. A teraz pokażę ci, jak wyszukujemy pacjentów, których trzeba wezwać na badania.

Znów się pochylił. Siedział teraz tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. W pierwszym odruchu chciała się odsunąć, ale ponieważ nie miała ochoty uchodzić za osobę przewrażliwioną, dzielnie wytrwała w miejscu.

- Jakiego rodzaju badania?

- Na przykład założmy, że chcemy zaszczepić dziewczynki przeciwko różyczce. Komputer wybierze wszystkie dziesięcioletnie osoby płci żeńskiej

zarejestrowane w naszej przychodni. Potem sprawdzimy dane i wyślemy zawiadomienia rodzicom tych dziewczynek, które nie chorowały na różyczkę.

- Niesamowite! Pozwolisz mi spróbować?

- Jasne.

- Muszę jeszcze poćwiczyć, żeby naprawdę się w tym połapać. - Dziwne, zważywszy, że bardzo szybko przyswoił sobie podstawy. - Mogłabyś poświęcić mi trochę czasu, powiedzmy rano przed pracą, albo, jeżeli wolisz, wieczorem, przynajmniej przez najbliższy tydzień? - W jego błagalnym spojrzeniu był chłopięcy urok. - Oczywiście, nie chciałbym nadużywać twojej uprzejmości.

- Wcale nie nadużywasz.

Cóż innego mogła powiedzieć? Na dobrą sprawę nie wypadało odmówić, skoro sama zaoferowała pomoc. Później, gdy tygodniowy kurs dobiegł końca, nieraz wspominała, jak przyjemnie i szybko płynął im wtedy czas. Lubiła jego poprzednika, Simona Phillipsa, który wcześniej zastępował Paula. On też był miły i kompetentny, ale... Gdyby jednak miała określić, na czym polega ta różnica, byłaby w kłopotcie.

Jon ma w sobie coś intrygującego, uznała któregoś dnia; intrygującego i trochę niesamowitego. Rozpiera go niespożyta energia.

Nie, nie zakocha się w nim, to jej nie grozi, ale i tak nie może doczekać się tego przyjęcia w szpitalu, a to dlatego, że na pewno spotka tam Jona.

Salę reprezentacyjną szpitala ozdobiono świeżymi wiosennymi kwiatami, serpentynami i kolorowymi balonikami. Nad podium zawisł ogromny transparent gratulacyjny. Nie szczędzono trudu, żeby uczcić ślub najbardziej lubianej w szpitalu pary.

Szczęśliwi nowożeńcy witali gości w progu.

- Jak dobrze, że przysłaś. - Andrew Merrick pocałował Kate w policzek.

- Nie odmówiłabym sobie tej przyjemności. - Teraz Kate pocałowała Georginę. - Wyglądasz przepięknie.

- Dziękuję! - Georgina roześmiała się. - Dziewczyny chciały, żebym ubrała się na biało, ale uznałam, że to by była lekka przesada, i poprzestałam na tym. - Spojrzała na suknię z kremowozłotego jedwabiu.

- Byłaś zdenerwowana?

- Ależ skąd! - Georgina obdarzyła męża czułym spojrzeniem. - Przyszła tylko rodzina i najbliżsi przyjaciele.

- Do urzędu stanu cywilnego?

- Tak - odparł Andrew. - Potem odnowiliśmy przysięgę małżeńską w kościele. Uznaliśmy, że tak będzie najstosowniej, a nasz wikary z chęcią wyświadczył nam tę przysługę.

- Wspaniale! - oznajmiła Kate, lecz w istocie czuła się trochę nieswojo. Andrew uśmiechnął się.

- Sądziliśmy, że po ślubie po prostu zjemy z rodziną obiad w naszym ulubionym hotelu, ale w pracy zarządzono inaczej.

- I słusznie. - Ponieważ przybyli następni goście, Kate weszła do środka. - Wszyscy chcą cieszyć się razem z wami.

- Dzięki.

- Baw się dobrze! - zawołał Andrew.

Kate przystanęła na chwilę, czekając, aż oczy przyzwyczają się do przyćmionego światła. Na scenie przygotowano stanowisko dyskdżokeja i stroboskopy, kucharki nadal przynosiły dania do bufetu. Myślała, że jest jeszcze wczesnie i sala będzie niemal pusta, a tu okazało się, że przed barkiem już tłoczą się goście, a przy stolikach ustawionych wokół parkietu trudno o miejsce.

- Kate! - usłyszała. - Tutaj! - To Helen dawała jej znaki z drugiego końca sali.

Kate ruszyła w stronę koleżanki. Helen włożyła dziś niebieską bluzkę i długą spódnicę z czarnego aksamitu, a włosy zaczesła do tyłu i spięła czarną kokardą. Wyglądała skromnie, lecz elegancko. Obok siedział Richard.

Przywitała się z nim i natychmiast zdała sobie sprawę, że całą jej uwagę skupia mężczyzna, który siedzi przy nim, a mianowicie Jon Hammond.

Przyjechał wcześniej i trochę ją tym zaskoczył. Było to ich pierwsze spotkanie tego dnia, ale przecież poprzedniego wieczoru, tak jak przez cały tydzień, siedzieli razem przy komputerze. Dlaczego więc jej serce zaczęło teraz szybko bić?

- Wyglądasz ślicznie. - W jego ustach był to nie tyle komplement, ile stwierdzenie faktu, którego nie wolno podawać w wątpliwość.

- Dziękuję.

Przygotowania zajęły jej dziś pół dnia. Przez całe popołudnie przeglądała zawartość szafy, każdą suknię przymierzała i każdą odkładała. Wreszcie zrozpaczona pojechała do swego ulubionego butik w Yarmouth i zdała się na sprzedawczynię.

- Potrzebuję sukni na dzisiejszy wieczór - oznajmiła. - Ma być elegancka i skromna, dla cichej i spokojnej osoby, która nie lubi rzucać się w oczy.

- Mam coś dla pani - odrzekła ekspedientka.

Była to jedna z tych rzadkich okazji, gdy Kate nie wątpiła, że ubrała się odpowiednio. Otóż miała na sobie spodnie z szyfonu, czarne ze srebrną nitką, tego samego koloru bolerko i bluzkę z kremowej satyny z rękawami marszczonymi przy mankietach.

Na twarzy Jona malował się podziw, ale trzeba przyznać, że on sam też wyglądał inaczej niż zwykle. Tego wieczoru wyrzekł się džinsów, włożył czarne spodnie i ciemnobłękitną koszulę. Kate przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy strój ten znajdował się gdzieś na dnie przepastnych, płóciennych toreb, czy też został zakupiony specjalnie na ten wieczór.

- Czego się napijesz, Kate? - Richard był rozbawiony.

- Och, proszę St. Clements.

- Zdaje mi się - zagadnął Jon, kiedy Richard udał się do barku - że skądś znam chłopaków, którzy prowadzą dyskotekę.

- Dobrze ci się wydaje - odrzekła Kate. - To Dave Morey i Pete Steel, sanitariusze, którzy przyjechali do wypadku.

- Czyżby dorabiali do pensji?

- Nic z tych rzeczy! - zaprotestowała Helen, usłyszawszy uwagę Jona. - Zbierają na aparaturę do dializy.

- Szlachetny cel. - Jon skinął głową, spróbował drinka i rozejrzał się po sali, do której napływały coraz większe tłumy. - Co to za dziewczyny?

Kate obejrzała się przez ramię.

- Lauren i Natasha, córki Georginy i Andrew.

- Mają z czego się cieszyć - stwierdziła Helen. - Pójdę pomóc Richardowi.

- Pójść z tobą? - zaofiarował się Jon.

- Och, nie trzeba. Zostań i porozmawiaj z Kate.

Po odejściu Helen zapadło niezręczne milczenie. Nagle oboje zaczęli mówić równocześnie.

- Przepraszam. Ty pierwszy.

- Ależ słucham.

- Chciałam tylko powiedzieć, że Lauren szczególnie ciężko przeżyła rozwód rodziców.

- Była bardzo mała?

- Teraz wygląda na około dziesięć lat, więc kiedy się rozstali, mogła mieć siedem, może osiem. W tym wieku rozpad rodziny jest wielkim wstrząsem.

- Zawsze jest wielkim wstrząsem.

- Mówisz, jakbyś przekonał się o tym na własnej skórze.

- Bo się przekonałem - odparł ponuro. - Miałem dwanaście lat, kiedy moi rodzice się rozeszli, ale nie byłbym pewien, czy to najgorsze, co mnie w życiu spotkało.

Rzeczywiście, w czasie choroby wolał zatrzymać się u przyjaciół w Norfolk niż u matki w Newbury. Od razu Kate to zastanowiło, a teraz zaintrygowało jeszcze bardziej.

- Z kim zostałeś? - zapytała po chwili. - To znaczy z matką czy z ojcem?

- Oboje zachowali prawo do opieki nade mną, co wtedy wydawało się niezłym rozwiązaniem. I faktycznie byłoby fantastycznie, gdyby okazywali mi więcej serca.

- Więc system się nie sprawdził?

- Chyba nie. Patrząc z perspektywy czasu, sądzę, że lepiej byłoby mieć jeden dom, jedną rodzinę. A tymczasem oni przesyłali mnie sobie jak paczkę. Matka ponownie wyszła za mąż, ojciec się ożenił, oboje mieli inne dzieci. Wiem, że bardzo się starali, ale zawsze byłem dla nich gościem, obcym.

- To smutne...

Ta rozmowa wiele jej wyjaśniła; wreszcie dowiedziała się, dlaczego Jon stroni od ludzi, dlaczego niechętnie opowiada o swoim dzieciństwie, dlaczego wybrał taki a nie inny styl życia.

- Na szczęście tym dziewczynkom oszczędzono bólu. - Skinęła w stronę Lauren i Natashy, wystrojonych w kremowe sukienki i purpurowe szarfy, roześmianych i pochłoniętych rozmową z przyjaciółmi i krewnymi. Andrew i Georgina właśnie zajmowali swoje miejsca przy stole.

- Dlaczego oni się rozstali? - zapytał Jon po chwili.

- Andrew miał romans. Georgina była zdruzgotana i wniosła sprawę rozwodową. Postawiła na swoim, ale niedawno wróciła do pracy w szpitalu i podobno tam uświadomili sobie, jak bardzo się kochają.

- Serce rośnie. Szkoda, że niewiele par próbuje pokonać trudności, zamiast wyobrażać sobie, że jeden kryzys oznacza koniec małżeństwa.

- To nie takie proste. - Kate odezwała się ostrzejszym tonem, niż zamierzała. - Chodzi mi o to - dodała, widząc zaskoczenie na twarzy Jona - że są sytuacje, w których życie staje się nie do zniesienia. Wystarczy posłuchać, co opowiadają niektóre pacjentki w mojej poradni.

- Wyobrażam sobie - skrzywił się - ale warto byłoby sprawdzić, ile procent małżeństw rozwodzi się z naprawdę poważnych przyczyn.

Kate milczała.

- Więc co byłoby dla ciebie nie do zniesienia?

- Przemoc - odparła bez namysłu. - Znęcanie się nad partnerem czy dziećmi.

- Co jeszcze? - Przez chwilę miała wrażenie, że jego spojrzenie jest nieco żartobliwe, a wysoko uniesione brwi są oznaką rozbawienia, lecz uznała, że chyba jej się wydawało.

- Pewnie ciągłe zdrady.

- Ciągłe? A jedną byś wybaczyła?

- Och, nie wiem. - Straciła cierpliwość, bo tym razem naprawdę się z niej śmiała. - Co to? Przesłuchanie?

- Przepraszam.

Tymczasem Richard i Helen wrócili do stołu, niosąc drinki. Sporo osób, zachęconych dowcipnymi monologami Dave'a Moreya, ruszyło na parkiet. Jednak dobry nastrój zakłóciły wkrótce wybuchy śmiechu dochodzące z drugiego końca sali.

- O Boże! - Richard nawet się nie odwrócił. - Skąd ja to znam? Proszę, powiedzcie, że oni tu nie przyjdą.

- Za późno! - oznajmiła Helen. - Już nas zobaczyli.

- O nie! - Richard był niepokieszony. - Jon, jeszcze nie miałeś tej szczególnej przyjemności, prawda?

- Jakiej przyjemności? - Jon wstał, widząc Martina Hogana, który zbliżał się w towarzystwie pulchnej brunetki.

- Poznania żony Martina - mruknął Richard. - Dobry wieczór - zwrócił się do przybyłych. - Właśnie o was mówiliśmy.

Nie pozostało im nic innego, jak powitać Hoganów, zaprosić ich do stolika i przedstawić Jona. Dziesięć minut później ten ostatni ujął Kate za rękę i poprowadził na parkiet.

- Nie podejrzewałam, że umiesz tańczyć - szepnęła.

- Zwykle podpieram ściany, ale zaistniały szczególne okoliczności. Czy Patsy zawsze tak trajkocze?

- Zawsze.

- Usta jej się nie zamykają. Kiedy ona oddycha?

- Może wtedy, kiedy się śmieje.

- Biedny Martin. Jak on z nią wytrzymuje?

- Kocha ją.

- Niewątpliwie.

- Wbrew pozorom Patsy ma złote serce.

- Wierzę, ale choćby była najpocziwsza, pewnie długo bym z nią nie wytrzymał.

- A widzisz, są sytuacje nie do zniesienia! Roześmiał się i objął ją mocniej.

- Widzę. - Przez chwilę w milczeniu kołysali się w rytm muzyki. - Czy jesteśmy skazani na ich towarzystwo?

- Chyba tak.

- Ona nas zamęczy.

- Możemy nie schodzić z parkietu.

- Słusznie. Co zrobią Richard i Helen?

- Już tańczą. Ale biedna Helen musi zostać do końca, bo ona to wszystko zorganizowała.

- To znaczy, że zwykli goście mogą wymknąć się wcześniej ?

- Zapewne. - Serce zabiło jej nieco szybciej. - Ale jeszcze nie teraz. Nie róbmy przykrości państwu młodym.

- Zgoda, zostaliśmy na parkiecie.

- Przynajmniej muzyka jest dobra. Dave i Pete znają się na rzeczy. Lubisz Whitney Houston?

- Jeszcze nie wiem. Która to? - Rozejrzał się wokół. Cofnęła się o krok i spojrzała mu w oczy.

- To piosenkarka. - Czyżby znów z niej żartował? - Nie mów mi tylko, że nigdy o niej nie słyszałeś, bo ci nie uwierzę.

- No to nie wierz.

- To znaczy...

- Pierwszy raz o niej słyszę.

Kate uświadomiła sobie, że Jon obejmuje ją i przytula coraz mocniej. Dawno żaden mężczyzna nie obejmował jej czule.

Prawdę mówiąc, nikt nigdy nie obejmował jej tak jak Jon. Tak jakoś... zaborczo. Miała do czynienia z człowiekiem, który wiódł twarde, ciężkie życie i przywykł o nie walczyć. W pierwszej chwili nieco się przestraszyła jego siły, lecz gdy otarł się policzkiem o jej czoło, uświadomiła sobie, że bije w nim serce spragnione ciepła i miłości. Przecież i ona tęskniła kiedyś za miłością...

- Wróć do nas - szepnął jej do ucha.

- Słucham?

- Myślamy byłeś gdzieś daleko. - Dotknął ustami jej włosów.

- Może i tak. Ale tu mi lepiej.

- Naprawdę?

Spędzili na parkiecie większą część wieczoru, od czasu do czasu na chwilę wracali do stołu, by odpocząć i posłuchać nieprzerwanej paplaniny Patsy Hogan, po czym znów szli tańczyć.

- Chyba możemy iść - szepnęła Kate, gdy oboje byli już zmęczeni.

- Ty możesz - Jon roześmiał się - bo ja muszę czekać na Helen.

- Jak to?

- Przywiozła mnie.

- Och, rozumiem.

- Chyba że... - zaczął z wahaniem.

- Że... - podchwyciła.

- Że dasz się namówić i odwieziesz mnie do domu.

- Czemu nie?

Poprosił ją tylko o podwiezienie, dlaczego więc na samą myśl o tym, że znów znajdą się sam na sam, była tak poruszona?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- W podróż poślubną jadą do Wenecji - oznajmiła Kate w samochodzie.

- Za pierwszym razem też tam byli?

- Chyba tak. To idealne miejsce dla zakochanych. Tyle tam mostów i gondoli...

- A ja zadowolę się rozgwieżdżonym afrykańskim niebem i zachodami słońca, jakich się tutaj nie widuje. Wiesz co, Kate? - dodał po chwili. - Świetnie się dzisiaj bawiłem.

- Ja też. Od dawna nie tańczyłam, a wszystko dzięki Patsy Hogan.

Gdy samochód zatrzymał się na podjeździe przed Coach House, żadne z nich nie miało ochoty wysiąść.

- Kto zajmuje się dzisiaj Harrym? - spytała Kate, wpatrzona w oświetlone okna domu Helen.

- Opiekunka. Nie był zachwycony. Powiedziałbym nawet, że ostatnio zrobił się nieco agresywny.

- Przyjadę go zbadać, jutro albo pojutrze. Tak mi żal Helen! Nie ma ani chwili dla siebie. Na przykład dzisiaj nigdzie nie pójdzie z Richardem, bo musi wrócić do Harry'ego.

- Ale ty chyba możesz wstąpić do mnie na kawę, prawda?

Wahała się tylko chwilę. Była najzupełniej pewna, że nie ma się czego obawiać. Czowała, że poznała już Jona dość dobrze, i musiała przyznać, że znakomicie czuła się w jego towarzystwie. Dlatego wysiadła i ruszyła za nim do budynku dawnej stajni.

- Poczekaj, zapalę światło - powiedział, wyprzedzając ją. - Schody są strome.

Wbiegł na górę i otworzył drzwi. Czekał na nią w maleńkiej kuchni. Zatrzymała się w progu, patrząc na skromne sosnowe szafki i ciemnoniebieskie kafelki.

- Tutaj się bawiłyśmy - rzekła powoli. - Czasami zostawałam u Helen na weekend, jeśli oczywiście nie jechałam do domu. To pomieszczenie zmieniło się nie do poznania. Kiedy ostatni raz je widziałam, spod pajęczyn i kurzu nie było widać podłogi.

- Muszę przyznać, że mieszka się tu bardzo wygodnie. - Jon nalał wody do czajnika. - Niestety, jeśli chodzi o kawę, mogę służyć tylko rozpuszczalną. Nie mam ekspresu.

- Może być rozpuszczalna. - Wciąż zerkała dookoła, usiłując przyzwyczać się do zmian, jakie zaszły nad stajniami. - Nie mogę uwierzyć, że to ten sam pokój - powiedziała.

Jon tymczasem wyciągnął z szafki filiżanki i słoik z kawą.

- Obejrzyj mieszkanie - rzekł, wyjmując z lodówki karton z mlekiem. - Nie zajmie ci to dużo czasu.

Zdażyła obejrzeć wszystkie pomieszczenia, zanim zagotowała się woda. Był tu salon, gdzie ustawiono sosnowy kredens i kanapę z perkalowym obiciem, połączony z kuchnią sklepionym przejściem, dalej sypialnia z łóżkiem przykrytym jasną narzutą, łazienka z prysznicem, wreszcie pokój gościnny z piętrowym łóżkiem.

- Helen zazwyczaj wynajmuje to mieszkanie na cały sezon - oznajmiła po powrocie do kuchni. - Tylko w tym roku ze względu na Harry'ego nie będzie tu gości.

- Pozwoliła mi tu mieszkać trzy miesiące, aż przyjedzie jej krewna, ale dzięki temu mam dość czasu, żeby poszukać czegoś innego.

Już miała spytać, kiedy zamierza wrócić do Afryki, lecz ugryzła się w język. Nagle doszła do wniosku, że wcale nie chce tego wiedzieć. Ważne, że teraz Jon jest tutaj. Może lepiej w ogóle nie poruszać tego tematu?

Przeszli do salonu, gdzie uwagę Kate przykuła lampka stojąca na biurku pod oknem. Było w niej coś znajomego. Jon postawił filiżankę na ławie, po czym usiadł na kanapie.

Pijąc kawę, rozmawiali o dzieciństwie Kate, kiedy wraz z Helen i Dianą tu się bawiły, o pracy Jona w Afryce, o pacjentach w przychodni, i o wieczorze, który oboje spędzili tak miło.

- Wytańczyłam się za wszystkie czasy.

- Czułam się jak za dawnych lat, na studiach.

- Ja też... - Urwała. Chciała powiedzieć, że wróciła myślami do przyjęć, jakie urządzano w szpitalu Barts, ale to skończyłoby się opowieścią o Alistairze, a Alistair był ostatnią osobą, o której chciałaby rozmawiać czy choćby myśleć, zwłaszcza teraz, będąc tutaj z Jonem...

Odwróciła się nagle, postawiła filiżankę na komódce przy kanapie i w tym momencie jej wzrok znów padł na lampkę. Już wiedziała, skąd zna ten bladozielony abażur i te kryształowe paciorki na frędzelkach. W mieszkaniu, które zajmowała z Alistairem, mieli taką samą, tylko niebieską.

Rozmawiali dalej, poznawali wzajemnie swoje upodobania, aż nieszczęsna lampka znów została zapomniana. Było jej wygodnie i przytulnie obok mężczyzny, którego uważała za swojego przyjaciela. Nawet gdy zdała sobie sprawę, że położył rękę na oparciu kanapy, tuż za jej plecami, czuła się bezpieczna.

A gdy przysunął się bliżej, w końcu oparła głowę na jego ramieniu.

- Kate - odezwał się po chwili - czy możemy to kiedyś powtórzyć? Pójdziemy gdzieś razem? Może na obiad? To był chyba najmiłszy wieczór w moim życiu.

- Chyba możemy.

Uniosła twarz w oczekiwaniu. Poczwała, jak Jon kładzie dłoń na jej policzku, jak wsuwa palce w jej włosy. Jego wargi były ciepłe i delikatne. Uspokoila się, zamknęła oczy i pozwoliła, by wziął ją w ramiona. Dawno nikt

nie całował jej w ten sposób. Jego ciało wydawało się twarde, jego podniecenie wznieciło w niej pożądanie - uczucie, wydawałoby się, zapomniane i obce. A Jon tymczasem całował ją coraz goręcej... Nagle otworzyła oczy i po raz kolejny dojrzała zieloną lampkę z paciorkami. Ogarnęła ją panika i zaczęła się histerycznie szamotać.

- Kate! - Jon był zdezorientowany. Zaczerwieniona, zerwała się z kanapy.

- Kate, o co chodzi? - spytał. - Co ci się stało?

- Przepraszam. - Opanowała się z wysiłkiem. - Po prostu nie mogę. - Całą swoją rozpacz wyraziła westchnieniem.

- Na litość boską, czym cię tak przestraszyłem?

- Niczym, Jon. Naprawdę mi przykro. To moja wina, nie twoja. Nie powinnam tu przychodzić.

- Nie pojmuję. - Pokręcił głową. - Co w tym złego, że przyszedłeś do mnie na kawę? Przecież to naturalne. - Nadal wyglądał na oszołomionego. - Po takim miłym wieczorze...

- Przepraszam, Jon. Już powiedziałam, to nie twoja wina. - Niepewnym krokiem ruszyła w stronę wyjścia.

- Kate, nie możesz tak odejść. Nie pozwolę, żebyś jechała w tym stanie...

- Nic mi nie jest, naprawdę. Proszę, Jon, po prostu zostaw mnie w spokoju.

Zszedł za nią po schodach i patrzył, jak wsiada do samochodu, drżącą ręką przekręca kluczyk w stacyjce i odjeżdża, nie oglądając się. Około stu metrów dalej na podjeździe minęła inny samochód, ale nie zwróciła na niego uwagi.

- Czy to była Kate? - Helen usiłowała przeniknąć wzrokiem mrok i przyjrzeć się uważnie postaci Jona rysującej się na tle okien dawnej stajni.

- Tak - odparł szorstko.

- Chyba troszkę się spieszyła. Wszystko w porządku?

- Równie dobrze mógłbym ciebie zapytać, bo sam nie wiem.

Helen wyteęzała wzrok, ale w ciemności trudno dostrzec wyraźnie twarz, a co dopiero malujące się na niej uczucia. Jednak z głosu Jona wywnioskowała, że coś tu nie gra.

- Na przyjęciu chyba dobrze się bawiliście.

- Ja też tak myślałem.

- Nie rozumiem. - Helen była coraz bardziej skonsternowana. Cały wieczór miała nadzieję, że Kate i Jon przypadli sobie do gustu. Cieszyła się ich szczęściem.

- Kamień by się poruszył, ale nie Kate - powiedział, śmiejąc się jakby z goryczą.

- Kate? Kamień? - Helen zamruęała oczami. - Jesteś pewien, że mówimy o tej samej osobie?

- Chyba nie ma sobowtóra? - Odwrócił się z zamiarem powrotu do siebie.

- Jon, nie idź jeszcze. Zobacę, co u ojca, pozwolę odejść Gwen i pogadamy.

- Po co?

- Widzę, że jesteś w złej formie, i muszę przyznać, że troszkę martwię się o Kate. Na pewno widziała mój samochód na podjeździe, nie uwierzę, że mnie nie poznała, ale odjechała, jakby ją ktoś gonił.

Jon milczał.

- Proszę, Jon. Naprawdę się martwię.

- No dobrze. Pójdę tylko na górę i zamknę drzwi.

Dziesięć minut później, gdy samochód Gwen zniknął w mroku, a Helen upewniła się, że ojciec śpi, przyszedł Jon. W kuchni zaproponowała mu herbatę albo kawę.

Podziękował z kwaśną miną.

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale przed chwilą wypiliśmy kawę.

- Więc co się stało, na litość boską? - Helen patrzyła w zdumieniu, jak Jon osuwa się na krzesło z kamienną twarzą.

- Sam chciałbym wiedzieć. Znakomicie się bawiliśmy, Helen, naprawdę. Rozmawialiśmy, tańczyliśmy. Właściwie przetańczyliśmy cały wieczór. Z początku dlatego, że nie chcieliśmy słuchać trajkotania Patsy. Przykro mi, Helen, ale tak właśnie było...

- Nie przepraszaj. - Helen skrzywiła się. - Richard też za nią nie przepada.

- Mógłbym przysiąc - ciągnął - że później tańczyliśmy dla przyjemności. Kiedy tu przyjechaliśmy, zaprosiłem ją na kawę. Miałem wrażenie, że się ucieszyła. Rozmawialiśmy o naszej pracy, o wielu rzeczach, właściwie o wszystkim. Była odprężona, szczęśliwa, ale potem...

- Co potem? - ponagliła go Helen.

- Wydawało mi się, że mogę... jednak ona zareagowała bardzo dziwnie... - Rozłożył ręce, a ponieważ Helen wciąż wpatrywała się w niego w milczeniu, dodał: - Zrozum, ja tylko próbowałem ją pocałować, a ona broniła się, jakbym zamierzał ją zgwałcić.

- Wiesz, Jon, to niepodobne do Kate. Zupełnie, jakbyś mówił o kimś innym. Kiedyś wspomniałeś, że jest nerwowa. Od razu coś mi się nie zgadzało, a teraz już nic nie rozumiem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Myślę, że twoja hipoteza może być słuszna. Podejrzewałeś, że Kate ma przykre doświadczenia. Początkowo sądziłam, że to nieprawdopodobne, sam pomysł uznałam za absurdalny, ale jej dzisiejsze zachowanie rzuca nowe światło na sprawę.

- Jak myślisz, co powinienem teraz zrobić? Nie chcę jeszcze bardziej jej wystraszyć.

- Polubiłeś ją, prawda?

- Od bardzo dawna nikogo tak bardzo nie lubiłem, ale rozumiem, że jest jej ciężko, i wiem, że muszę być bardzo ostrożny.

- Spróbuję wam pomóc. Porozmawiam z nią i może się zorientuję, o co chodzi.

- A ja?

- Po prostu zachowuj się naturalnie - poradziła - jakby ten incydent w ogóle nie miał miejsca.

- Dobrze.

Dla Kate nie były to najprzyjemniejsze święta wielkanocne. Przez cały czas drżała na myśl o chwili, kiedy w przychodni stanie twarzą w twarz z Jonem. Zastanawiała się, co sobie pomyślał o niej i o jej zachowaniu. Ataki paniki, które zdarzały jej się po zerwaniu z Alistairem, były coraz rzadsze, ale, jak przekonała się w sobotę, czasami jeszcze wracały.

Tamtego wieczoru bawiła się znakomicie i wszystko było jak w bajce - do momentu, kiedy Jon chciał zrobić kolejny krok. Wtedy widok tej przeklętej lampki obudził ponure wspomnienia i ogarnęła ją histeria.

Może powinna po prostu wszystko mu wyjaśnić? W końcu Jon jest lekarzem i powinien zrozumieć. Z niejasnych przyczyn jednak sama myśl o rozmowie na temat nieudanego wieczoru przejmowała ją grozą. Poza tym wątpiła, czy potrafiłaby to komukolwiek wytłumaczyć, a gdyby nawet, to zdradziwszy swoją tajemnicę, znalazłaby się w niezręcznej sytuacji.

We wtorek rano Kate była już tak roztrzęsiona, że w panice oczekiwała spotkania z Jonem, lecz gdy wreszcie nastąpiło, zdumiała się niepomiernie. Jon zachowywał się naturalnie i ani słowem nie wspomniał o sobotnim wieczorze.

W przychodni nie było wiele pracy, jak zwykle po świętach. Ostatnim chorym nieoczekiwanie okazał się Pete Steel. Wiedziała, że jest jej pacjentem, ale nie przypominała sobie, by kiedykolwiek odwiedził jej gabinet.

- Cześć, Pete! - powitała go, gdy otworzył drzwi i zajrzał ostrożnie do pokoju.

- Dzień dobry! - Ukłonił się i od razu wszedł.

- Nieczęsto u nas bywasz. Usiądź, proszę. Świetnie prowadziliście dyskotekę. - Próbowwała go troszkę rozruszać, bo zauważyła, że jest spięty i skrepowany.

- Staraliśmy się - rzekł lakonicznie. Najwyraźniej wolał od razu przejść do rzeczy i mieć już tę rozmowę za sobą.

- Co ci dolega? - Jego karta była prawie czysta.

- Nie jestem pewien - odparł z wahaniem. - Wiem, że coś jest nie w porządku, ale trudno mi podać konkretne objawy.

- Ale coś zauważyłeś?

- Tak, zrobiłem się dziwnie niezdarny. Zaczęło się chyba od mrowienia w prawej dłoni, innym razem cała ręka mi zdrętwiała. Zawsze przechodziło i starałem się nie przejmować, ale...

- Coś się stało? Pete odwrócił wzrok.

- Moja żona zauważyła, że ostatnio zrobiłem się ociężały, poruszam się dziwnie powoli.

- Łatwo się męczysz, Pete? Skinął głową.

- Jeśli mam być szczery, bardzo łatwo. Kiedyś grałem w piłkę nożną, ale teraz nie mam siły nawet pobawić się z dziećmi.

- Ile masz lat? - Kate nacisnęła odpowiedni klawisz i komputer wyświetlił dane Pete'a. - Trzydzieści trzy, prawda?

- Tak, chociaż muszę przyznać, że czasem czuję się, jakbym był dwa razy starszy.

- A w pracy? Jak sobie radzisz?

- Jako tako, choć drętwieją mi ręce. Kilka razy śniło mi się, że upuściłem pacjenta. Dave, który ze mną pracuje, też mówi, że się zmieniłem.

- Dobrze się odżywasz? Dużo śpisz?

- Tak. Mówiłem ci, że wciąż jestem zmęczony.

- Masz jakieś kłopoty, martwisz się czymś?

- Właściwie nie. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście czasem nie jestem pewny, czy w porę zapłacę czynsz albo coś w tym stylu, ale nie mam większych problemów.

- Masz jakieś bóle?

- Nie.

- Dobrze, w takim razie - Kate wstała - zmierzę ci ciśnienie i skieruję na badania krwi.

- Ale to się da leczyć?

- Jest o wiele za wcześnie na diagnozę, Pete - odparła szybko, jednak widząc w jego oczach przerażenie, dodała łagodniej: - Nie martw się. Na pewno sobie poradzimy.

Odprowadziła go zamyślonym wzrokiem. Sama obawiała się, że drętwienie rąk może być początkiem jakiejś ciężkiej choroby. Lubiła Pete'a. Obaj z Dave'em nieśli chorem pomoc i uśmiech, ale o ile Dave wciąż chwalił sobie kawalerski stan, Pete był domatorem, kochającym mężem i ojcem.

Ponieważ tego ranka nie miała więcej pracy, udała się do rejestracji, gdzie akurat Jon rozmawiał z Martinem Hoganem.

- Dużo mam wezwań do domu? - zwróciła się do Claire, unikając wzroku Jona.

- Cztery, pani doktor. Przed chwilą odebrałam ostatnie. Od Helen Turner.

- Czy powiedziała, o co chodzi?

- Tylko tyle, że Harry był dziś rano bardzo agresywny i że chyba powinna z panią porozmawiać.

- Pojadę tam później. - Wzięła kartę i odwróciła się do wyjścia. Jon najwyraźniej postanowił jej towarzyszyć.

- Harry był dziś naprawdę niebezpieczny - powiedział.

- Widziałeś go?

- Helen mnie zawołała.

- Dlaczego od razu nie wezwała mnie? - Kate uznała za stosowne bronić swego autorytetu. - Harry jest moim pacjentem. Helen wie, że przyjadę o każdej porze dnia i nocy.

- To nie tak. Przez przypadek byłem w pobliżu, a Harry'ego trzeba było nie tyle zbadać, ile uspokoić, chociaż bez porady lekarskiej się nie obędzie.

- No dobrze. Co się stało?

- Jak się domyślam, Harry zszedł na dół do kuchni. Chciał zaparzyć sobie herbatę, co podobno często robi, i prawdopodobnie coś mu się nie udało. Sfrustrowany, z całej siły rzucił czajnikiem z wrzącą wodą.

- Dobry Boże! Czy poparzył Helen?

- Na szczęście zdążyła uskoczyć, ale Harry był bardzo wzburzony i musieliśmy go obezwładnić. W końcu Helen namówiła go, żeby wziął lekarstwa. Po chwili był spokojny jak baranek.

- Do następnego ataku. - Kate przygryzła wargę.

- Tak. Do następnego ataku.

- Pojadę tam od razu.

Gdy doszli do jej gabinetu, przystanąła z ręką na klamce.

- Wiesz, w sobotę... - zaczęła niezręcznie.

- Nic się nie stało - zapewnił prędko.

- Owszem, stało się. Przepraszam, Jon. Naprawdę. Nie wiem, co mnie napadło, ale możesz być pewien, że to nie twoja wina.

- Nie ma sprawy. Wiesz, czasami warto porozmawiać o takich rzeczach.

- Wiem. - Nie wytrzymała jego spojrzenia. - Nie jestem tylko pewna, czy potrafię.

- Nie zapominaj, że umiem słuchać.

- Nie zapomnę, i... dzięki, że starasz się zrozumieć.

Chwilę obserwowała, jak Jon idzie wolno korytarzem, po czym weszła do gabinetu. Wewnątrz oparła się o drzwi i zamknęła oczy. O ileż prostsze byłoby życie, gdyby zdobyła się na odwagę i powiedziała, co ją dręczy. A zdawałoby się, że wystarczy znaleźć właściwe słowa i dręczące wspomnienia zatrać się w pamięci na zawsze. W głębi serca czuła, że komuś powinna opowiedzieć swą historię.

Ale to nie takie łatwe!

Zaproponował szczerą rozmowę. Chciał wysłuchać jej opowieści. Najwyraźniej interesował się nią i pragnął, by ich przyjaźń się rozwijała. Nie jest mu obojętna; teraz to wiedziała, wspominając jego czułość. Oczywiście, wszystko zaprzepaściła. Wpadła w panikę, a potem, na domiar złego, uciekła. Jon na pewno nie spróbuje jeszcze raz. A gdyby jednak zdobył się na podobny gest, skutek pewnie byłby ten sam. Czy są jakieś szanse, że ten koszmar wreszcie minie i będzie można żyć normalnie?

Powstrzymując napływające do oczu łzy, wzięła do ręki zakiet. Jedynym antidotum jest, jak zawsze, praca. Gniewnym gestem otarła łzy, ubrała się, wzięła torbę lekarską i kluczyki od samochodu, po czym spieszenie wyszła z gabinetu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Naprawdę uważam, że nadszedł czas.

- Wiem. - Helen westchnęła głęboko. - Nadszedł czas, a ty masz absolutną rację, ale... Och, nie wiem. Po prostu łudziłam się, że jakoś sobie poradzę i zapewnię mu opiekę do samego końca. On na pewno tego by chciał.

- Możesz zawozić go tam tylko na parę dni w tygodniu.

- Będzie protestował. Nie zrozumie.

- Ale gdyby zrozumiał, sam pierwszy by przyznał, że musisz trochę odpocząć. Szczerze mówiąc, Helen, nie wytrzymasz tak dłużej. Pomyśl: nie śpisz po nocach, całą dobę opiekujesz się chorym, a do tego masz odpowiedzialną pracę. Sama niedługo się rozchorujesz, jeżeli nie będziesz o siebie dbała.

- Richard też tak mówi - stwierdziła Helen ponuro.

- No widzisz. Poza tym o związek też trzeba dbać. Richard też pewnie wolałby, żebyś czasami mogła ruszyć się z domu.

- Oczywiście. - Helen westchnęła. - Mam szczęście, że trafiłam na cierpliwego faceta. Mężczyznom z reguły trudno pogodzić się z taką sytuacją, ale Richard jest inny. Rozumie to jako lekarz i mąż, który cały czas opiekował się Dianą.

- Mimo wszystko nie możesz spodziewać się, że będzie czekał w nieskończoność. Nikomu nie ubywa lat.

- Nie przypominaj mi. A skoro już mowa o sprawach sercowych, to zacznijmy od ciebie.

- A to dlaczego? - zapytała Kate czujnie.

Siedziały na ławeczce przed domem, wygrzewając się w popołudniowym słońcu.

- Dlatego, że wciąż jesteś sama. Kate wzruszyła ramionami.

- Ja nie zamierzam z nikim się wiązać, ale ty zawsze chciałaś wyjść za mąż, mieć dzieci...

Helen zmarszczyła brwi.

- Nie wiedziałam, że nie chcesz zakładać rodziny.

- Uznałam, że nie warto. Praca daje mi więcej satysfakcji.

- Czy to ma coś wspólnego z Alistairem?

- Pewnie tak. - Kate znów wzruszyła ramionami, żałując, że nie może zmienić tematu. Nie miała ochoty rozdrapywać starych ran.

- Nigdy nie rozumiałam, dlaczego się rozstaliście. Co prawda widziałam go tylko dwa razy, ale sprawiał wrażenie całkiem przyzwoitego faceta i sądziłam, że dobrze się dobraliście. Więc dlaczego się rozstaliście?

- Po prostu nie pasowaliśmy do siebie, chociaż przez długi czas wydawało mi się, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Chyba dobrze się stało, że nie wzięliśmy ślubu.

- Czy widziałaś się z nim od tego czasu? Jesteś tu już chyba ze cztery lata?

- Właściwie pięć. Nie, nie spotykamy się. - Dłuższą chwilę milczała, przyglądając się kwiatom na grządce wzdłuż domu. - Pojechał do Ameryki.

- Naprawdę? Nigdy o tym nie wspominałaś.

- Po co? Między nami wszystko było skończone. Ale jakieś dwa lata temu... - Kate zawahała się, ale zanim zdążyła zmienić zdanie, słowa same wyrwały się jej z ust: - Dostałam list od jego siostry i dowiedziałam się, że... zginął w wypadku. - Wciąż wpatrywała się w kwiaty, co było o tyle dziwne, że chyba wcale ich nie widziała. Wreszcie podniosła wzrok. - Nie martw się. Już się z tym pogodziłam.

- Ale dlaczego nic nie mówiłaś? Nie miałam pojęcia.

- Wydawało mi się, że nie ma sensu się zwierzać - rzekła Kate powoli. - Nasz związek skończył się trzy lata przed śmiercią Alistaira. Po prostu nie czułam się na siłach rozmawiać o tym z kimkolwiek. Nawet z tobą, Helen.

- Tak mi przykro. Żałuję, że nie mogłaś mi powiedzieć.

- I co by to dało?

- Nie wiem. - Helen była bezradna. - Na pewno chciałabym być z tobą w trudnych chwilach. - Jakiś czas milczały, każda pochłonięta własnymi myślami. - I od tego czasu nie było nikogo?

- Właściwie nie...

- Ale nie chcesz chyba powiedzieć, że nie będzie?

- Nie zastanawiałam się nad tym.

- W sobotę chyba dobrze bawiliście się z Jonem.

- O co ci chodzi? - Kate zaczęła grać na zwłokę. Trudno było znaleźć właściwą odpowiedź, która nie dałaby przyjaciółce powodu do domysłów.

- Prawie nie schodziliście z parkietu.

- Bo to był jedyny sposób, żeby uciec od Patsy Hogan - rzekła Kate, usiłując się roześmiać.

- Wyglądaliście, jakby łączyło was coś więcej niż antypatia do Patsy. Przede mną nic się nie ukryje - odparła Helen. - Chyba przyznasz, że on jest całkiem miły.

- Przyznam.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że w szpitalu wywołał niemałe poruszenie.

- Nasze rejestratorki też są nim zauroczone.

- Jest oryginalny, nasi przeciętniacy nie umywają się do niego. Jednak jak wieść głosi - rzuciła jej krótkie spojrzenie - nie ma co się za nim uganiać.

- No tak, przecież nie zostanie tu długo.

- Wcale nie dlatego. Wszyscy twierdzą, że Jon świata nie widzi poza tobą.

- Co ty mówisz! - Kate usiłowała zaprotestować, lecz serce zabiło jej mocniej.

- Czy to takie nieprawdopodobne? - Helen uniosła brwi.

- Raczej zabawne - odparła Kate, wstając.

- Nie rozumiem dlaczego. Nie lubisz go?

- Oczywiście, że lubię. Przecież jego nie da się nie lubić, prawda?

- To dlaczego się nie cieszysz?

- Dlatego, że moim zdaniem to nie ma sensu.

- Jak to, nie ma sensu?

- Bo on wróci do Afryki i zostawi mnie ze złamanym sercem.

- A może lepiej żyć chwilą i cieszyć się tym, co się ma?

Ponieważ Kate milczała, Helen objęła ją i razem weszły do domu, by omówić szczegóły opieki nad Harrym.

Żyć chwilą! Cieszyć się tym, co się ma! Gdyby to było takie proste! Doprawdy, bardzo by chciała cieszyć się romanssem z Jonem, bo przecież na poważny związek nie ma co liczyć, ale podejrzewała, że już zapomniała, co to radość.

Kiedyś, zanim poznała Alistaira, było inaczej. On wszystko zmienił. Właściwie jak to się stało, że powiedziała Helen o śmierci Alistaira? Nie mówiła

o niej nikomu - usiłowała wymazać ją z pamięci, wraz z innymi wspomnieniami, zbyt przykrymi, żeby do nich wracać.

Kiedy dostała list od jego siostry, pograżyła się w rozpacz. Potem jednak ogarnął ją gniew. Nie mogła przeboleć, że cała sprawa pozostanie nie rozstrzygnięta i że śmierć Alistaira w jakiś sposób zwolniła go od odpowiedzialności. Lecz to nie ona miała go do tego pociągnąć. Ona wolała wyrzucić go ze swego życia, trzymać się od niego z daleka, więc poczuła ulgę na wieść o jego wyjeździe do Stanów. Dlaczego jego śmierć okazała się tak wielkim szokiem i dlaczego potem tak trudno było jej odzyskać równowagę - wciąż nie potrafiła wyjaśnić.

Należy zamknąć ten rozdział, myślała w drodze do domu. Życie musi toczyć się dalej. Trzeba spróbować szczęścia w innym związku, a kto wie, może w jej sercu obudzi się jeszcze wielkie uczucie? Przed Helen udawała, że nie chce już miłości, ale to nieprawda. Jej najskrytszym marzeniem było założyć rodzinę z właściwym mężczyzną i mieć dzieci.

Podobno Jon się nią interesuje. Nie wygląda co prawda na mężczyznę, który ma zamiar od razu się żenić, lecz istotnie poświęcał jej wiele uwagi, przynajmniej do tej strasznej chwili, kiedy to zachowała się jak histeryczka.

Jak wyzwolić się od strachu? Jak zapobiec atakom paniki? Jak nauczyć się znów ufać mężczyźnie?

Tymczasem Helen niespiesznie wróciła do domu. Ojciec, którego zostawiły w sypialni, zdążył już wstać i pójść do kuchni. Pomrukiwał gniewnie do siebie, stukając kubkami i talerzami o blat.

- Nie rób tak, tato - rzekła Helen zmęczonym głosem. - Potłuczesz je.

- Co ty o tym wiesz! - Nagle zwrócił się do niej z groźnym błyskiem w oczach i podniósł kubek, jakby chciał rzucić nim z całej siły.

- Pozwól, że go wezmę. - Obawiając się kolejnej gwałtownej sceny, wyciągnęła rękę. Harry z miną nadąsanego, niegrzecznego dziecka posłał jej wyzywające spojrzenie.

- Co ty tam wiesz! - mruknął, ale zagrożenie chyba minęło.

- Daj spokój, tato.

- Co ty wiesz? - wyszeptał i z rozpaczliwą miną, na widok której serce się krajało, potulnie wręczył jej kubek, po czym usiadł w fotelu na biegunach przy piecyku.

- Zrobię herbatę - zaproponowała, a słysząc na podjeździe samochód, wyjrzała na dwór. - Jon wrócił. Może też się napije?

- Co ty wiesz... - powtarzał Harry drewnianym głosem. Helen otworzyła okno i zawołała:

- Właśnie robimy herbatę. Przyjdziesz do nas, Jon?

- Dzięki. Bardzo chętnie.

Helen nasypała herbatę do czajniczka. Jon otworzył drzwi i schyliwszy się pod niską futryną, wszedł do kuchni. Harry nawet nie podniósł wzroku; kołysał się w fotelu i powtarzał raz po raz pytanie, które, jak się zdawało, zadawał całemu światu.

- Cześć, Harry! - Jon usiadł przy stole.

- Co ty wiesz!

- Była Kate - oznajmiła Helen. - Dopiero odjechała.

- Nie widziałem jej - odparł szybko.

- Może wracała inną drogą.

- Może.

- Co ty tam wiesz! - wtrącił Harry.

- Przyjechała do Harry'ego?

- Tak, wzywałam ją. Nie daję sobie rady, Jon.

- Dobrze, że spojrziałaś prawdzie w oczy.

- Czuję się winna, kiedy on jest w takim stanie - rzekła po chwili, rzucając ojcu serdeczne spojrzenie - ale kiedy robi się agresywny, po prostu nie wiem, co począć. Kate załatwi mu miejsce w domu opieki.

- W samą porę, Helen. Sama wiesz, ile dla niego zrobiłaś. To przecież nie twoja wina, że on jest chory. - Odwrócił głowę, gdyż Harry nagle zerwał się na równe nogi i wciąż mamrocząc do siebie, wyszedł niepewnym krokiem.

Helen usiadła przy stole, ustawiwszy przed sobą czajniczek i filiżanki. Jakiś czas milczała, w jej oczach lśniły z trudem wstrzymywane łzy. Wreszcie westchnęła po raz kolejny i wzięła się w garść.

- Pogadałyśmy sobie, Jon - zaczęła, nalewając herbatę. Szybko podniósł wzrok.

- To znaczy...?

Skinęła głową i wręczyła mu filiżankę.

- Wiesz, pomyliliśmy się.

- Tak? - Wpatrywał się w nią uważnie. - No, mów.

- Podejrzewaliśmy, że ona się boi. A to nieprawda.

- Powiedziała ci? Rozmawiała o tym? Helen ponownie skinęła głową.

- Może wtrącam się w nie swoje sprawy, ale ponieważ wiem, że ci na niej zależy...

- To mało powiedziane.

- Tak sądziłam.

- Czy ten facet, o którym wspominałaś, ma z tym coś wspólnego?

- Alistair? Powiedziałabym, że bez niego problem ani by nie powstał, ani się nie rozwiązał. Ale nie zgadliśmy. Nie chodzi o to, jak oni się rozstali; raczej o to, co się stało potem.

- Jak to: potem? - Jon spoglądał na nią w zdumieniu.

- Otóż Alistair pojechał do Stanów i zginął w wypadku samochodowym.

- I nic nikomu o tym nie mówiła? Helen pokręciła głową.

- Podejrzewam, że Kate dopiero teraz uświadomiła sobie, że on nie żyje, albo że obwinia się o coś.

- Dlaczego miałyby się obwiniać?

- Może to ona z nim zerwała, a on, zrozpaczony, wyjechał?

- Ale to wcale nie oznacza, że jest winna jego śmierci.

- Tak, ale umysł człowieka płata czasem figle. Kto wie, co jej przyszło do głowy, kiedy zdała sobie sprawę, że nie potrafi go opłakiwać ani choćby dobrze wspominać? Jak sądzisz?

- Nie wykluczałbym tego, a jeśli to prawda, to nic dziwnego, że ona zachowuje się dziwnie. - Zadumał się, pijąc niespiesznie herbatę. - Więc jak myślisz, jakie mam szanse?

- Moim zdaniem, spore. Skoro już tyle powiedziałam, to powiem ci jeszcze, że musisz być ostrożny. Nie wywieraj na niej presji.

- Wspominała o mnie?

- Może i tak.

- Ale nie powiesz, co mówiła?

- Sekret to rzecz święta - oznajmiła z emfazą - a szczególnie taki, który dotyczy babskich spraw. I tak dużo ze mnie wyciągnąłeś. Reszty musisz dowiedzieć się sam.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Pośród iskrzących się w słońcu fal na horyzoncie pojawił się barwny punkt, lecz gdy Kate przystanęła i otworzyła okno samochodu, domyśliła się, że to złoto-błękitny żagiel Mistrała sunącego w oddali po wodach cieśniny Solent.

Płynął nim Jon, korzystając z zaproszenia Richarda, a Kate nie mogła wprost doczekać się chwili, kiedy zapyta go o wrażenia. Gdy wysiadła z samochodu i osłaniając oczy, zaczęła obserwować, jak jacht podpływa coraz bliżej, z westchnieniem stwierdziła, że w tej chwili Jon króluje w jej myślach niepodzielnie.

Zmiana ta dokonała się niepostrzeżenie. Gdy wiosenna zieleń zaczęła ustępować barwom wczesnego lata, okazało się, że Jon zawsze jest w pobliżu. Nie tylko w pracy, co było zrozumiałe, a nawet nieuchronne, ale i w innych

miejskach. Razem pojechali na kolację wydaną przez Andrew i Georginę Merri-cków, potem jedli kiełbaski z grilla u Richarda w Newtown Creek, a wreszcie raczyli się znakomitymi trunkami u Hoganów. To jednak nie wszystko. Jon pojawiał się jak gdyby nigdy nic, w najbardziej nieoczekiwanych momentach, kiedy na przykład robiła zakupy w supermarkecie, tresowała w lesie Chestera, nawet kiedy pływała w basenie. Czyżby spotykał ją przypadkiem?

Kiedyś to wszystko może byłoby irytujące, ale teraz jego obecność stawała się czymś zwyczajnym, a nawet miłym, i to do tego stopnia, że Kate czuła się zawiedziona, jeżeli u jej boku nie było Jona.

Nieudany wieczór w mieszkaniu nad stajniami poszedł w niepamięć, gdyż Jon nigdy nie poruszał tego tematu. Nigdy jednak nie próbował jej pocałować ani nawet objąć. Właściwie czuła się rozczarowana jego brakiem inicjatywy.

Po przyjęciu u Richarda odwiózł ją do domu, lecz kiedy zaprosiła go do środka, odmówił. Długo siedzieli w jego samochodzie i podziwiali szczególnie piękny zachód słońca. Pragnęła do bólu, żeby on jej dotknął, wziął w ramiona, tak jak wtedy, w jego mieszkaniu. Tymczasem on zaledwie musnął jej policzek i szepnął dobranoc. Nie miała wyboru - musiała wysiąść i patrzeć sfrustrowana, jak Jon odjeżdża.

Pewnie nie chce już mojej miłości, stwierdziła, patrząc, jak Mistral zawija do portu. Widać uznał, że jest zimna i niezdolna do głębokich uczuć. Gdyby tylko wiedział!

Odwróciwszy się, wsiadła z powrotem do samochodu i ruszyła w dalszą drogę. Jeśli się pospieszy, zdąży na moment cumowania. Będzie z nimi w chwili, gdy wyjdą na ląd.

- Cześć! - zawołała, wbiegając na pomost.

Gdy Jon odwrócił się w jej stronę, serce jej zamarło, gdyż nie miała wątpliwości, że na twarzy Jona dojrzała radość. Ubrany był w pożyczony kombinezon i mokasyny żeglarskie, włosy rozwiała mu morska bryza. Patrząc na niego, trudno byłoby uwierzyć, że niedawno trawiła go tropikalna choroba.

- No i jak? - Na chwilę oderwała od niego wzrok, żeby spojrzeć na Richarda.

- To urodzony żeglarz. Niektórzy mają to we krwi.

- W rewanżu zabiorę Richarda na safari - rzekł Jon z promiennym uśmiechem.

Na wspomnienie safari i powrotu Jona do Tanzanii Kate poczuła się nieswojo. Po prostu nie wyobrażała już sobie życia bez tego człowieka.

Nieco później wszyscy razem poszli do pobliskiego klubu, by uczcić pomyślny koniec wyprawy. Kate miała akurat dyżur i zanim zdążyli dokończyć drinki, rozległ się dźwięk jej pagera. Skorzystała z klubowego telefonu.

- Muszę lecieć - oznajmiła po powrocie. - Jeden z moich pacjentów wyszedł ze szpitala i trzeba mu przepisać leki przeciwbólne.

- Wracasz do przychodni? - zapytał Jon.

- Tak, po wizycie.

- Mogę pojechać z tobą? - Opróżnił kieliszek. - Zostawiłem tam samochód. W przeciwnym razie Richard będzie musiał mnie zawieźć, a jest umówiony z Helen na lunch.

- Oczywiście. - Kate w głębi duszy cieszyła się, że nie must jeszcze rozstawać się z Jonem.

- Widzę, że połknąłeś bakcyła - powiedziała parę minut później, gdy zbliżali się do domu pacjenta.

- Było cudownie. Jeszcze lepiej, niż sobie wyobrażałem. - Zamilkł na chwilę. - Skoro chrzest morski mam już za sobą, może byś popłynęła ze mną?

- Czemu nie? Zdaję się na ciebie.

Wyobraziła sobie rejs z Jonem, ich sam na sam pośród fal, błękitne niebo, słoneczny żar i smak soli w ustach...

Czekał w samochodzie, a gdy wróciła z domu pacjenta, rzucił jej pytające spojrzenie.

- Coś poważnego?

- Właściwie nie. Wstawiono mu protezę biodrową.
- Czyżby przy wypisie nie dano mu środków przeciwbólowych?
- Dano, ale widać nie zadziałały. Zapisałam silniejsze.
- Rozumiem. Myślałem, że są jakieś komplikacje. Ponowne skierowanie do szpitala albo coś takiego.

- Nie, nic z tych rzeczy. - Zawahała się. - To nic w porównaniu z tym, co mnie czeka jutro.

- A co cię czeka jutro?

- Dostałam wyniki nakłucia lędźwiowego jednego z moich pacjentów.

Pamiętasz Pete'a Steela?

- Tego sanitariusza? Kate skinęła głową.

- Przyszedł do mnie parę tygodni temu, skarżąc się na drętwienie kończyn i brak koordynacji ruchów. Miałam nadzieję, że moje podejrzenia okażą się niesłuszne.

- Stwardnienie rozsiane?

- Tak.

- Biedaczysko. Jest jeszcze młody.

- Ma trzydzieści trzy lata, żonę i dwójkę dzieci.

- Musi pożegnać się z pracą.

- Boję się tej rozmowy, ale nie mogę jej dłużej odkładać. - Westchnęła. -

Czasami musimy robić straszne rzeczy, prawda?

- Masz rację. Chcesz, żebym poszedł z tobą i udzielił ci wsparcia moralnego?

- To miło z twojej strony, ale Pete jest moim pacjentem. Muszę to zrobić sama. Powinnam też porozmawiać z jego żoną.

- Zgoda, ale moja propozycja jest aktualna, jeżeli zmienisz zdanie.

- Dzięki. - Wątpiła, czy z niej skorzysta, ale świadomość, że jest ktoś, kto w każdej chwili chętnie posłuży pomocą, dodaje sił i odwagi. Dotychczas nie znała tego uczucia, ale stwierdziła, że łatwo się przyzwyczai.

Szczerze mówiąc, im więcej o tym myślała, tym lepiej zdawała sobie sprawę, jak bardzo stali się sobie bliscy. Omawiali wyniki wywiadów chorobowych, diagnozy i rozmaite formy leczenia. Czasami spierali się, a Jon porównywał tutejsze metody do terapii stosowanych w buszu. Zazwyczaj kończyło się to wybuchem śmiechu, a Kate nie pamiętała już swoich pierwszych, gwałtownych reakcji na nowatorskie metody Jona.

Następnego dnia po południu podjechała pod bliźniaczy domek z czerwonej cegły, którego połowę zamieszkiwała rodzina Pete'a. Kilka minut siedziała w samochodzie, zbierając siły przed czekającą ją rozmową. Gdy uznała, że nie może dłużej odwlekać tej smutnej wizyty, wysiadła, powoli podeszła do wejścia i zadzwoniła.

Drzwi otworzył jej Pete.

- Dzień dobry! - Usiłowała uśmiechnąć się promiennie.

- Doktor Chapman! - Pete uśmiechał się wesoło, ale tym razem jego radość nie trwała długo. Chyba coś przeczuwał.

- Mogę wejść?

- Oczywiście.

- Czy Sue jest w domu?

- Tak, w kuchni. Ja akurat... bawiłem się z chłopakami. Rozumiem, że przynosi mi pani jakąś wiadomość.

- Tak, Pete. Dostałam wyniki badań. Może zawołasz Sue? Skinął głową, a gdy zjawił się w salonie z żoną, miała nieodparte wrażenie, że domyślił się diagnozy. Sue jednak przeżyła wstrząs.

- Stwardnienie rozsiane? - Patrzyła na Kate osłupiałym wzrokiem.

- Na to nie ma lekarstwa, prawda? - powiedział Pete, podszedł do drzwi prowadzących na werandę i patrzył na ogród.

Ze swojego miejsca na kanapie Kate widziała, jak dwóch synków państwa Steel gra na trawie w piłkę.

- Nie ma lekarstwa jako takiego, Pete, ale teraz wiele można zrobić, żeby pomóc choremu. Obserwujemy też remisje, czyli długie okresy osłabienia objawów.

- A co z jego pracą? - Sue chyba dopiero uprzytomniła sobie, jakie będą praktyczne konsekwencje choroby męża.

- Wyrzucą mnie. - Pete nie owijał w bawełnę.

- Nie. - Sue podniosła rękę do ust. - Może...

- Na co komu sanitariusz kaleka?

- Teraz najważniejsze jest myślenie pozytywne - oświadczyła Kate. - Trzeba skoncentrować się na tym, co da się zrobić, a nie na tym, co niewykonalne. Przede wszystkim, Pete, chciałabym, żebyś jak najszybciej przyjechał do przychodni, żebym mogła dokonać dokładnej oceny twojego stanu zdrowia, a potem porozmawiamy o lekach i fizykoterapii.

- Mam iść do pracy? - Pete odwrócił się. Jego twarz wyrażała gniew i gorycz, ale nie strach.

- Wypiszę ci zwolnienie, na wszelki wypadek. - Otworzywszy torbę, Kate wyciągnęła bloczek i zaczęła wypełniać druk.

- Naprawdę mi przykro, Pete - rzekła, wręczywszy choremu zwolnienie. - Żałuję, że nie przyniosłam lepszych wieści.

Cóż za ulga wyjść, uciec od bólu malującego się w ich oczach; bólu, którego żadne słowa nie złagodzą.

- Czułam się taka bezsilna - zwierzyła się później Jonowi w swoim gabinecie.

- Niełatwo powiedzieć facetowi, że ma ni mniej, ni więcej, tylko stwardnienie rozsiane.

- Mówiłam o postawie pozytywnej, o tym, że trzeba skupić się na działaniach, które można podjąć, a nie tych, z których trzeba zrezygnować, ale...

- Bezradnie rozłożyła ręce.

- Pete zapewne wie na ten temat więcej niż przeciętny pacjent.

Kate skinęła głową, a ponieważ Jon zbierał się do wyjścia, poprosiła go, żeby został jeszcze chwilę.

- Od paru dni nie widziałam Helen. Mówiła coś o Harrym?

- Podobno nie poznał jej podczas ostatnich dwóch wizyt. Kate westchnęła.

- Jego choroba chyba postępuje szybciej, niż sądziliśmy. Zabrzączał telefon na biurku.

- Słucham, Claire?

- Czy jest u pani doktor Hammond?

- Tak. - Przekazała słuchawkę Jonowi.

- Dzwonili z opieki społecznej - informowała Claire. - Podobno policja znalazła Marion Everton w jakiejś budzie nad morzem, pijaną i w bardzo złym stanie. Chcieliby, żeby ktoś ją zbadał.

- Zajmę się tym, Claire - odparł Jon. - Gdzie ona jest?

- W komisariacie.

- Mam jechać z tobą? - spytała Kate.

- Chyba dam sobie radę.

- Na wątpię, ale mogę się przydać. Znam tę rodzinę.

- Myślałem, że jesteś zajęta. - Spojrzał na stos kart do uzupełnienia.

- Przyjęłam już wszystkich pacjentów. O ile wiem, nie mam wizyt domowych, a papierków i tak nigdy nie ubywa.

- Dobrze, dzięki. Naprawdę się cieszę.

Ich spojrzenia spotkały się i poczuła, jak ciepło z okolic serca rozchodzi się po całym ciele. Czasy, kiedy Jon wymagał pomocy przy obsłudze komputera, minęły bezpowrotnie, a Kate niemal za nimi tęskniła.

Każde pojechało swoim samochodem, gdyż było już późno i z komisariatu chcieli wrócić prosto do domu. W holu czekała na nich policjantka i Barbara Westbury z opieki społecznej, która zajmowała się rodziną Evertonów. Wydawały się zadowolone, choć i nieco zaskoczone, że stawilo się aż dwoje lekarzy.

- Czy Marion jest w areszcie? - dopytywała się Kate.
- Nie. Po prostu potrzebuje spokojnego kąta, żeby wytrzeźwieć.
- Czy wiadomo, co doprowadziło ją do tego stanu?
- Nie jesteśmy pewni, ale jej mąż, Den, niedawno wyszedł z więzienia.

Może to mieć pewien związek - tłumaczyła Barbara.

Kate zmarszczyła brwi.

- Sytuacja chyba się odwróciła. W przeszłości ona piła raczej na wieść, że on trafił za kratki.

- Gdzie są dzieci? - zapytał Jon.

- Młodsze musieliśmy oddać do domu dziecka.

- A co z Denem? Nie mógłby...? - Kate zamilkła, widząc, jak policjantka i

Barbara wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

- Wszelki ślad po nim zaginął.

- Rozumiem. No to chodźmy porozmawiać z Marion.

- Jest jeszcze coś, o czym powinna pani wiedzieć, doktor Chapman - powstrzymała ją policjantka.

- Słucham?

- Marion ma mnóstwo świeżych siniaków na twarzy i na całym ciele.

Chociaż nie chce mówić, sądzymy, że ciężko ją pobito.

Kate zamarła w bezruchu.

- No cóż, chodźmy - stwierdziła wreszcie.

Opatulona w podniszczony, wełniany płaszcz z kapturem, Marion Everton siedziała skulona w kącie sali przesłuchań. W powietrzu unosił się zapach alkoholu i wymiocin. Gdy oboje z Jonem usiedli przy niewielkim stoliku, podniosła zaczerwienioną, obrzękłą twarz.

- Marion - odezwała się Barbara Westbury - przyszli doktor Chapman i doktor Hammond.

- Niby po co?

- Chcemy pani pomóc - rzekła Kate. - Mogę obejrzeć te siniaki na twarzy?
- Zerknęła na Jona. - Pozwolisz? - Kiedy skinął głową, podeszła bliżej i delikatnie odwróciła twarz kobiety do światła.

- Kto pani to zrobił? - zapytała łagodnie. Marion spuściła wzrok.

- Musi nam pani powiedzieć.

- Dlaczego? - Kobieta podniosła na Kate otepiałe, żalosne spojrzenie.

- Bo potrzebuje pani pomocy.

- Nie chcę o tym gadać.

- Rozumiem - odparła Kate.

- Tak pani myśli?

- Tak myślę.

- Co pani, do cholery, o tym wie? Ma pani mieszkanie jak pałac i górę forsy! Tacy ludzie niczego nie rozumieją nawet za milion lat - oznajmiła z pogardą.

- Może nie jest aż tak źle? - Kate przykucnęła obok, zdając sobie sprawę, że Jon pilnie śledzi wszystkie jej słowa i ruchy. - A jeśli okaże się, że rozumiem lepiej, niż pani sądzi?

Marion zmarszczyła brwi. Widać niewiele widziała z powodu obrzmiałych, sinych powiek.

- Czy to Den?

Kobieta nadal milczała, ale gdy Kate powtórzyła pytanie, tym razem z większą stanowczością, cicho przytaknęła.

- Czy bił panią przedtem, czy to pierwszy raz? - Jedyłą odpowiedzią było ledwo zauważalne kiwnięcie głową.

- Ile razy? Raz? - Kolejne kiwnięcie.

- Czy więcej? Marion, czy on maltretował panią wiele razy?

W sali zaległa przygniatająca cisza. Wreszcie kobieta po raz trzeci skinęła głową.

- W porządku, Marion - odezwał się Jon. - Najgorsze za nami. Wiem, jak trudno było to powiedzieć. Teraz możemy udzielić pani pomocy.

Odsunął się, najwyraźniej oczekując, że to Kate przeprowadzi obdukcję, ona jednak nagle stwierdziła, że nie jest w stanie się ruszyć. Jon zlustrował ją wzrokiem, jakby rozumiał, choć oczywiście nie rozumiał ani trochę, i przejął pałeczkę. Odtąd Kate tylko przyglądała się bezradnie, jak policjantka notuje spostrzeżenia Jona.

- Siniak na lewym policzku, obrzmienie i siniak pod lewym okiem oraz po lewej stronie kości szczękowej. Brak dwóch zębów. - Tu zwrócił się do Barbary Westbury: - Czy mogłaby pani zdjąć jej bluzkę?

Na ramionach, żebrach i piersiach Marion odkryto kolejne siniaki, a gdy Jon bardzo delikatnie zaczął badać pacjentkę, Kate poczuła, że drży. Nie było to lekkie drżenie wywołane głodem czy zmęczeniem, lecz silny dygot, towarzyszący cierpieniom moralnym.

- A teraz, Marion, wyślemy panią do szpitala na oddział chirurgii powypadkowej - oznajmił Jon. - Trzeba zrobić prześwietlenie szczęki i barku, a sądzę, że zechcą tam panią zatrzymać na noc. W tym czasie panna Westbury załatwi pani pobyt w schronisku dla kobiet. Tylko na parę dni - podkreślił, gdyż wydawało się że Marion chciała protestować, choć wkrótce znów pogрузzyła się w apatię.

Kate jakoś zdołała dopełnić formalności i po chwili znalazła się wraz z Jonem na parkingu przed komisariatem. Gdy wsiadała do samochodu, Jon położył jej rękę na ramieniu. Nie potrafiła już powstrzymać łez.

- Wszystko w porządku, Kate? - spytał z troską.

- Tak - odparła ostro. - Muszę lecieć, Jon. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia. Zobaczymy się jutro.

Uruchomiła silnik i ruszyła z piskiem opon, aż nazbyt dobrze zdając sobie sprawę, że Jon stoi koło swojego samochodu z wyrazem najwyższego zdumienia na twarzy.

Nie wiedziała, jak znalazła się w domu, pamiętała tylko ogromną ulgę, jaka ogarnęła ją, gdy wchodziła do mieszkania. Resztkami sił zamknęła za sobą drzwi, po czym oparła się o nie. Zmrużyła oczy, a łzy popłynęły po policzkach niepowstrzymanym strumieniem.

Coś tu nie gra. Przecież to już historia. Wprawdzie sprawa Alistaira nie została zakończona, ale po jego śmierci o jej zakończeniu nie może być mowy. Kate cały czas była przekonana, że już się z tym pogodziła. Więc dlaczego widok Marion Everton tak głęboko nią wstrząsnął?

Rozdzierające łkanie nie pozwalało jej oddychać; obraz pokiereszowanej, obrzmiałej twarzy Marion nie dał się wymazać z pamięci. Pobite kobiety widywała w pracy na co dzień, rozmawiała z nimi, udzielała porad... Nigdy się nie załamywała, więc dlaczego dziś, dlaczego tak nagle?

Brzęczenie domofonu wyrwało ją ze stanu odrętwienia i śmiertelnie przeraziło. Bezradnie wpatrywała się w wiszącą na ścianie słuchawkę. Kto to może być?

Nikogo nie zapraszała i z nikim nie pragnęła rozmawiać. Nie chciała, żeby ktoś ją teraz widział - roztrzęsioną, bezsilną i zdruzgotaną. Jeżeli się nie odezwie, może gość, kimkolwiek jest, pójdzie sobie.

Domofon zaterkotał znowu, tym razem dłużej i bardziej natarczywie, a po sekundzie ciszy zadzwonił po raz trzeci.

Tajemniczy intruz nie rezygnował.

Usiłując się opanować, podniosła słuchawkę.

- Kate, to ja, Jon - usłyszała. - Proszę, wpuść mnie.

Nie chciała towarzystwa, a Jon był ostatnią osobą, której chciałaby się pokazać w tym stanie.

- Proszę, Kate!

Po długim wahaniu nacisnęła guzik. Na dole otworzyły się drzwi i po chwili gość stanął w progu.

Gdy spojrział na jej zalaną łzami twarz i drżące ręce, przygarnął ją do siebie tak mocno, że wyraźnie słyszała bicie jego serca. W jego ramionach było bezpiecznie, jej obawy pierzchły, a ona sama dłuższą chwilę nie miała zamiaru się od Jona uwolnić.

- Kate - dotknął ustami jej włosów - musiałem przyjechać. Tak się o ciebie martwiłem. Co ci jest?

Nie zdołała nad sobą zapanować i ponownie zalała się łzami.

- Nie jestem pewna... czy w ogóle mogę... to powiedzieć - wykrztusiła i jeszcze raz przycisnęła twarz do jego piersi.

- Myślę, że cokolwiek cię dręczy, powinnaś wyrzucić to z siebie - odezwał się Jon. - Powiedz to komuś, kto z racji wykonywanego zawodu może ci służyć radą albo po prostu cię lubi. - Delikatnie uniósł jej twarz, a potem równie delikatnie musnął wargami jej usta.

- To długa historia - wykrztusiła wreszcie drżącym głosem.

- Nigdzie się nie spieszę. - Wziął ją za rękę i poprowadził do salonu, a gdy usiedli na kanapie, otoczył ją ramieniem.

- Nie wiem, od czego zacząć - wyznała wreszcie Kate.

- Zawsze mnie uczono, że najlepiej zaczynać od początku.

- Czyli od Alistaira.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Kim właściwie jest Alistair?

- Mężczyzną, z którym wiązałam plany na wspólną przyszłość. Tylko że „był”, a nie „jest”. Zginął w wypadku jakiś czas temu.

- Przykro mi.

Kate lekko wzruszyła ramionami.

- Wypadki chodzą po ludziach...

Jon w milczeniu czekał na dalszy ciąg, odetchnęła więc głęboko i przygotowała się psychicznie. Rozpaczliwie usiłowała choć trochę uporządkować myśli, żeby jej opowieść nie zamieniła się w niekontrolowany wybuch emocji.

- Alistaira poznałam w Londynie na przyjęciu, kiedy pracowałam w szpitalu Barts. - Gdy zaczęła mówić, zdała sobie sprawę, że pięści ma zaciśnięte, szyję zroszoną potem, a gardło ściśnięte ze strachu. - Bez trudu zawrócił mi w głowie. Był młodym, czarującym i przystojnym mężczyzną, a do tego nad wyraz ambitnym prawnikiem. Miał czym imponować.

Przełknęła ślinę.

- W każdym razie kiedy zadzwonił po przyjęciu i zaprosił mnie na randkę, nie wahałam się. Poszliśmy na kolację do najwytworniejszej restauracji w Londynie. Potem tańczyliśmy. Bardzo wcześnie dał mi do zrozumienia, że mu się podobam... Spotykaliśmy się jakiś czas, to znaczy kilka miesięcy. Przedstawiłam go moim rodzicom i poznałam jego siostrę. Nie miał już matki ani ojca. Byłam... - Uświadomiła sobie, że nie zaciska już tak mocno pięści. - Byłam przekonana, że spełniły się moje marzenia. Wkrótce z nim zamieszkałam...

- Gdzie mieszkałaś przedtem?

- Och, wynajmowałam dom z dwiema koleżankami, a Alistair mieszkał z kolegą. Wtedy mówiliśmy już o małżeństwie, o dzieciach... więc wydawało się

zupełnie naturalne, że odtąd będziemy razem. Między innymi dlatego tak trudno uwierzyć mi w to, co się stało później.

Jon ujął jej rękę i zaczął delikatnie głaskać.

- Śmierć kochanej osoby zawsze jest ciężkim przeżyciem - powiedział wreszcie - ale warto zdobyć się na odwagę i porozmawiać.

Kate zmarszczyła brwi.

- Tak, ale właściwie nie chodzi o śmierć Alistaira.

- Tylko o co? - zdziwił się Jon.

- O to, co stało się jeszcze przed naszym rozstaniem. - Dłonie miała już zupełnie mokre.

- Opowiesz mi o tym?

- Chyba muszę. - Głos jej drżał. - Bo milczenie nie przyniosło mi nic dobrego.

Musiała najpierw uporządkować chronologię wydarzeń, uspokoić się i dodać sobie odwagi przed nieuchronną, choć tak długo odwlekaną rozmową, która, miała nadzieję, wreszcie przyniesie jej spokój i ukojenie.

- Z początku było cudownie, chociaż od czasu do czasu odzywała się w nim żądza posiadania. Na razie nie było to nic niepokojącego. Na przykład mówiąc o mieszkaniu, które było naszym wspólnym domem, mówił: moje mieszkanie, o naszych rzeczach - moje rzeczy. Nasz magnetofon był jego magnetofonem, a nasza płyta kompaktowa - jego płytą. Niby nic.

- Czy to ci przeszkadzało? - spytał Jon.

- Właściwie nie. Wtedy byłam taka zakochana, że jego uwagi mnie nie obchodziły, zwłaszcza że dotyczyły błahostek. Ale... stopniowo uświadomiłam sobie, że on chciałby też przywłaszczyć sobie moją osobę. Muszę przyznać, że coraz trudniej było mi to znosić. Całe życie gorąco broniłam swojej niezależności, a dotychczas nie miałam do czynienia z ludźmi o tak osobliwych skłonnościach.

- Czy zwracałaś mu na to uwagę?

- Czasami. Ale byłam tak nim zauroczona, że patrzyłam przez palce na jego kaprysy. Bo wtedy sądziłam, że to tylko chwilowe fanaberie albo nieistotna cecha charakteru. Miałam klapki na oczach. Jako lekarz powinnam wiedzieć, że coś jest nie w porządku, ale chyba nie chciałam słuchać głosu rozsądku.

W ciszy, jaka nagle zapadła, jedynym dźwiękiem było tykanie zegara na kominku, oczywiście nie licząc przytłumionego, spokojnego szumu morza.

- Niestety - odezwała się wreszcie Kate - nie zdawałam sobie sprawy, jaka jest prawdziwa przyczyna jego dziwactwa. On był po prostu chorobliwie zazdrosny. Było parę drobnych incydentów, które powinny dać mi do myślenia, ale zlekceważyłam je, bo nie chciałam znać prawdy.

- Mogę wiedzieć, co to za incydenty?

- Och, nic poważnego. Codziennie drobiazgowo mnie wypytywał, gdzie byłam, kiedy, z kim i tak dalej. Z początku mi to pochlebiało, bo przedtem nikt się mną tak bardzo nie interesował, ale potem stało się to trochę krępujące. Wypytywał nawet o pacjentów, a zdarzało się, że byłam bliska zdradzenia tajemnicy lekarskiej, byle tylko zadowolić Alistaira. Nigdy do tego nie doszło, ale musiałam się sporo natrudzić, żeby cokolwiek mu wytłumaczyć.

- Ale przecież prawnik...

- ...powinien lepiej znać psychikę człowieka. I co z tego? - Wzruszyła ramionami. - Alistair był jak rozpieszczone dziecko. Prywatnie zachowywał się zupełnie inaczej niż na sali sądowej; prywatnie uważał, że cały świat kręci się wokół niego. W każdym razie pewnego popołudnia zaszło między nami coś strasznego i teraz wiem, że trzeba było potraktować to jako ostrzeżenie. Otóż wyszłam ze szpitala przed końcem dyżuru i nieoczekiwanie wróciłam do domu. Traf chciał, że Alistair także skończył pracę wcześniej i przyjechał zaraz po mnie. Postanowiliśmy pójść do łóżka. Było cudownie, jak zawsze, kiedy się kochaliśmy. Potem... zaczął mnie wypytywać.

- O co?

- Chciał się dowiedzieć, dlaczego wróciłam do „jego” mieszkania w środku dnia. Z początku próbowałam zbyć go śmiechem, a potem uświadomiłam sobie, że on sugeruje, jakobym planowała spotkanie z kimś innym. Wciąż usiłowałam obrócić to w żart, ale szybko okazało się, że on mówi śmiertelnie poważnie. Usiłowałam go przekonywać; zauważyłam nawet, że sama mogłabym go podejrzewać, bo też przyszedł do domu wcześniej.

- I co?

- Zignorował moje uwagi. Kontynuował przesłuchanie. Chciał poznać nazwisko swojego rywala. Pytał nawet, czy znałam go przedtem, czy się z nim kochałam, jak było, i czy tamten jest lepszy w łóżku niż on. Miałam już dość. Wstałam i poszłam do łazienki. Nalałam wody do wanny. Odwróciłam się, żeby wziąć z szafki płyn do kąpieli. Za mną stał Alistair. Uderzył mnie pięścią... tutaj, poniżej ramienia. Nie spodziewałam się ataku. Przewróciłam się i rozciąłam sobie głowę o krawędź wanny. Byłam tak wstrząśnięta, że długo siedziałam na podłodze ze wzrokiem wlepionym w Alistaira. A on klęczał obok, ocierał mi krew z twarzy, tulił mnie i zapewniał, że nie chciał...

- A nie chciał?

- Chyba nie. Myślę, że jego żal był szczery. Błagał o przebaczenie, a ponieważ tak bardzo go kochałam, oczywiście przebaczyłam mu. Przysięgał, że to się już nigdy nie powtórzy, i uwierzyłam, bo chciałam wierzyć.

- Ale to się powtórzyło?

- Tak. Muszę przyznać, że przez długi czas, prawie rok, Alistair zachowywał się bez zarzutu. Planowaliśmy ślub. To stało się tuż przed świętami Bożego Narodzenia, po przyjęciu na jednym z oddziałów. Nie wypłam wiele, ale bałam się sięść za kierownicą. Miałam właśnie zadzwonić po taksówkę, kiedy Jim Naylor, kolega z pracy, zaproponował, że mnie odwiezie. Zgodziłam się bez namysłu.

Było dość późno, kiedy przyjechaliśmy do domu. Zaprosiłam Jima na kawę, wiedząc, że mój narzeczony jest w domu i zażąda wyjaśnień. Przy gościu

Alistair był bardzo uprzejmy. Zrobił nawet kawę i gawędził o przygotowaniach do świąt. Kto by się spodziewał...

Głos uwiązał jej w gardle. Jon przytulił ją mocniej.

- Tym razem o nic nie pytał - ciągnęła po chwili. - Uderzył mnie, gdy tylko za Jimem zamknęły się drzwi. Mój kolega jeszcze nie zdążył odjechać, a on już zadawał mi cios za ciosem... - Zaczęła szlochać; głośny, rozdzierający płacz świadczył o tym, że gdzieś głęboko krwawi nie zabliźniona rana.

- Potem chwycił mnie za włosy, wtedy były o wiele dłuższe... zawlókł do sypialni i zmusił... wiesz do czego... na podłodze...

- Zgwałcił cię. - Jon zacisnął pięści.

- Właściwie nie. Mieszkałam z nim...

- Ale mówisz, że zmusił cię!

- Tak. Nie chciałam tego.

- Więc zgwałcił cię.

- Masz rację - odparła Kate z żalnym westchnieniem. - Potem dalej mnie bił. Myślałam, że umrę.

Odwróciła ku niemu zapłakaną twarz, skryła ją w jego koszuli, by znaleźć w płaczu ukojenie. Później, już spokojniejsza, dokończyła swą opowieść.

- Odeszłam zaraz następnego dnia. Przeprowadziłam się do szpitalnego hotelu. Jakiś czas przedtem Richard Fleetwood zwrócił się do mnie z pytaniem, czy zechciałabym pracować w jego przychodni. Najpierw odmówiłam, przekonana, że moje miejsce jest w Londynie, u boku Alistaira i prawdopodobnie w szpitalu, gdzie marzyła mi się posada konsultanta. Ale po rozpadzie naszego związku stwierdziłam, że wyjazd na wyspę to jedyny ratunek.

Zadzwoiłam do Richarda i zapytałam, czy jego propozycja jest aktualna. Kiedy oświadczył, że z wielką chęcią mnie przyjmie, złożyłam wymówienie. Miałam zaległy urlop, więc mogłam wyjechać natychmiast. Parę tygodni spędziłam u rodziców, po czym przeprowadziłam się na wyspę.

- Nie poszłaś na policję?

- Nie. Wiem, że powinnam była, ale jakoś sobie tego nie wyobrażałam. Kto by mi uwierzył? Widzisz, Alistair był bardzo lubiany, taki miły, dobrze wychowany, a przy tym nikt nie podejrzewałby wziętego prawnika...

- Więc nikt nic nie wiedział? Zawahała się.

- Coś niecoś wiedziała koleżanka z pracy, która nie знаła Alistaira.

Pokazałam jej siniaki.

- I co ona na to?

- Usiłowała mnie namówić, żebym poszła na policję, ale ja nie mogłam...

- A co z Alistairem? Zostawił cię w spokoju?

- Nie, przynajmniej nie od razu. Błagał, żebym wróciła, i próbował swoich starych sztuczek. Zapewniał, że nie chciał mi zrobić krzywdy, że to się już więcej nie powtórzy. Nawet pojechał za mną do rodziców. W końcu oświadczyłam, że powiedziałam o wszystkim koleżance i pokazałam jej siniaki. Zagroziłam, że pójdę na policję, jeżeli nie zostawi mnie w spokoju.

- Podziałało?

- Dopiero po jakimś czasie. Był bardzo wytrwały. Potem dowiedziałam się, że jedzie do Stanów. Poczulałam ogromną ulgę i usiłowałam udawać, że cała ta historia się nie wydarzyła.

- Nigdy o tym nie rozmawiałaś?

- Nie, i to był mój pierwszy błąd. Popełniłam jeszcze drugi: nie zgłosiłam się na policję. Zupełnie jakbym w mózgu miała jakąś blokadę i nie mogła myśleć o Alistairze. - Znów przerwała. - Byłam załamana, kiedy dowiedziałam się o jego śmierci - podjęła po chwili - ale dalej nie potrafiłam spojrzeć prawdzie w oczy. Panicznie bałam się sięgać pamięcią do tych wydarzeń.

- Do dzisiaj.

- Tak, do dzisiaj. Nie wytrzymałam na widok Marion. Coś we mnie pękło, blokada zniknęła. Napłynęły wspomnienia i nie mogłam ich już powstrzymać.

- Teraz poczujesz się o wiele lepiej...

- Tak. - Przygryzła wargi. - Pewien rozdział mojego życia został zamknięty. Nareszcie. Widzisz, nikomu nie potrafiłam zaufać.

- Czułem to. I wiem, że cię nie winię. Po tym, co ci się przytrafiło, jesteś usprawiedliwiona. Ale pamiętaj, że są ludzie, którzy zasługują na zaufanie.

Owinał sobie kosmyk jej włosów wokół palca i pociągnął go delikatnie, żeby musiała obrócić ku niemu twarz.

- Nie wątpię - wyszeptała.

- Może teraz dojdiesz do wniosku, że czas dać szansę komuś innemu?

- Może... Wiesz co, Jon? Przez długi czas obiecywałam sobie, że już nigdy nie zaangażuję się w żaden związek, aż tu pewnego pięknego dnia przyszedł taki jeden ekscentryk w wytartych dżinsach, uśmiechnął się bez troski i znowu zobaczyłam świat w jaśniejszych barwach.

Jon zaśmiał się.

- Myślisz, że ten ekscentryk ma jakieś szanse?

- Może i ma. - Westchnęła głęboko i mocniej wtuliła się w jego ramiona. - Na pewno ma.

Zakochała się. Nadszedł maj, lato zbliżało się wielkimi krokami. Kasztany, przystrojone w białoróżowe kiście, szumiały cicho, żywopłoty z tarniny okryły się puchem gęstym jak bita śmietana, a Kate powoli uświadamiała sobie, że lepszego mężczyzny niż Jon nie znajdzie nigdzie na świecie. Z pozoru szorstki i nieczuły, przy bliższym poznaniu Jon okazał się uosobieniem ciepła.

Widać uważał, że czas jest najlepszym lekarzem, i cierpliwie czekał, aż koszmary, które prześladowały Kate, odejdą w przeszłość. Coraz więcej czasu spędzali razem i w zasadzie opowiedzieli już o sobie wszystko, co tylko da się powiedzieć drugiej osobie. Powoli leczyli stare rany - ona mówiła o swym nieudanym związku, on o swym smutnym dzieciństwie. Wiele razy rozprawiali do późna w noc, zapominając, że czas płynie nieubłaganie, a choć ich miłość pozostała niespełniona, darzyli się coraz większym zaufaniem.

Jeśli chodzi o Kate, kobiecy instynkt podpowiadał jej, by nie angażować się bez reszty. Alistairowi dała wszystko i gorzko tego pożałowała. Teraz czuła się bezpieczna, jednak obawiała się, że jeśli znów podda się uczuciu, po wyjeździe Jona do Afryki będzie zdruzgotana.

Aż pewnego razu nastąpił przełom.

Dla obojga był to dzień wyteźzonej pracy. Kolejki w poczekalni były wyjątkowo długie, wizyty domowe i konsultacje w poradni bardzo czasochłonne, a zebranie służbowe przeciągnęło się do późna. Tego wieczoru razem udali się do mieszkania Kate i z ulgą opadli na kanapę.

Później usiłowała przypomnieć sobie kolejność wydarzeń, lecz okazało się to ponad jej siły, bo przecież zachowywali się spontanicznie. Najpierw po prostu padli sobie w objęcia, ale ponieważ teraz często się obejmowali, na razie nie podejrzewali, że stanie się coś ważnego. Potem ich pocałunki były coraz bardziej namiętne, i sami nie wiedzieli, jak to się stało, że znaleźli się sypialni. Kochała Jona, kochała każde miejsce jego silnego ciała, skórę ogorzałą od słońca, włosy jak len, twarde mięśnie, a gdy poczuła go na sobie i spojrzała w jego szare oczy, pokochała je także, bo wyczytała w nich miłość.

Był delikatny, lecz kiedy żar jej namiętności dorównał jego pożądaniu, ich ciała zapłonęły żywym ogniem. Potem Kate przyłgnęła do niego, nie mogąc znieść myśli, że kiedykolwiek mieliby się rozstać.

- Kocham cię, Kate.

- Ja cię też kocham. Nigdy tego nie zapomnę. Oparł głowę na łokciu i uśmiechnął się ciepło.

- Mówisz, jakby to był koniec.

- A nie jest? - Uniosła brwi, lecz przysunęła się bliżej i lekko dotknęła jego skóry.

- Mogę cię zapewnić, że to dopiero początek.

- Naprawdę? - zapytała z niewinną miną. - Miejmy nadzieję, że nie zadzwoni któryś pager.

- Helen pewnie martwi się, dlaczego nie wróciłeś do domu - zauważyła później.

- Nie sędzę. Wie, że jestem duży i sam muszę o siebie dbać.

- No tak, ale ona może się niepokoić. Jeszcze pomyśli sobie, że miałeś wypadek!

- Mam do niej zadzwonić?

- Niezły pomysł. Lepiej ją uprzedzić, bo biedaczka może już cię szuka. Z drugiej strony... - uśmiechnęła się nieśmiało - mógłbyś się czuć zakłopotany, gdyby miał wyjaśniać, gdzie jesteś.

- Ja? Zakłopotany? - Uśmiechnął się rozbrajająco, jednak ani drgnął.

- No dobrze, ja to zrobię. - Opierając się o niego plecami, podniosła słuchawkę i wybrała numer Helen. Przyjaciółka odebrała po trzecim sygnale. - Cześć, tu Kate. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

- Nie, jeszcze nie. Richard dopiero pojechał. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Właściwie nic. Chciałam ci tylko powiedzieć, że Jon nie wróci dziś na noc. To wszystko.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

- A to nowina!

Kate nagle drgnęła, gdyż poczuła, jak ręka Jona powoli sunie po jej brzuchu i dotyka piersi.

- Ja... bałam się, że będziesz się martwiła...

- A zguba po prostu jest u ciebie, tak? - Helen się zaśmiała.

- No tak. - Głos uwiązł jej w gardle i zamarł na dobrą chwilę, gdyż Jon zaczął pieścić jej skórę.

- Z radością to słyszę. Już straciłam nadzieję, że doczekam tej chwili. A przy okazji może podsuniesz mi rozwiązanie pewnego problemu.

- Jakiego?

Tymczasem Jon podniósł głowę i uważnie słuchał, choć jego ręka dalej głaskała jej biodro.

- Dzwoniła córka mojej kuzynki, Siobhan. Kończy szkolenie za jakieś trzy tygodnie.

- I chce się wprowadzić do mieszkania nad stajniami?

- Właśnie. Zastanawiałam się, co zrobić z Jonem, ale chyba mam kłopot z głową.

- Chyba tak. - Kate ze śmiechem odłożyła słuchawkę.

- Wyrzuca mnie z mieszkania? - Ręka Jona nagle znieruchomiała.

- Tak.

- Więc muszę rozejrzeć się za jakimś lokum - rzekł poważnie.

- Trudno znaleźć coś na dwa miesiące.

- Kto powiedział, że tylko na dwa miesiące? Kate otworzyła szeroko oczy.

- No, nie sądziłam, że zostaniesz po powrocie Paula.

- Dlaczego nie?

- Nie wracasz do Tanzanii?

- Raczej nie. - Wzruszył ramionami, a serce Kate nagle zadrżało. - Koniec z safari, rozpoczynam osiadłe życie.

- A co z pracą?

- Nie powinno być trudności. Rozmawiałem już z Richardem. Podobno w Shalbrooke zazwyczaj jest mnóstwo wolnych etatów.

- Chcesz pracować w szpitalu?

- Do czasu, aż coś znajdę. - Uśmiechnął się swoim beztróskim uśmiechem, który tak pokochała.

- Ależ ty zostawiłeś serce w Afryce - zaprotestowała. - Kiedyś opowiadałeś, że praca w buszu to całe twoje życie i trzeba by czegoś naprawdę szczególnego, żebyś zrezygnował.

- Może właśnie znalazłem to coś szczególnego?

- To znaczy...? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Tak, Kate. Od razu podejrzewałem, że tak będzie, pomimo tego wyniosłego spojrzenia, którym mnie zgromiłaś wtedy w poczekalni. Musiałś

być bardzo rozczarowana, że to ja jestem nowym lekarzem, a nie ten zarozumialec z firmy medycznej. Nie, nie musisz zaprzeczać, to było widać. Nie zakochałaś się we mnie od pierwszego wejrzenia i właściwie ci się nie dziwię. Rzeczywiście byłem niestereotypowy.

- Powiedziałałabym... niekonwencjonalny.

- Pewnie i tak można to określić. - Uśmiechnął się szeroko. - Ale to nie zmienia faktu, że nie zrobiłem na tobie najlepszego wrażenia. Natomiast jeśli chodzi o mnie, to natychmiast straciłem głowę dla tej ślicznej, nieosiągalnej damy, która powitała mnie w przychodni, a niedługo potem byłem już przekonany, że z jej powodu zrobię obrót o sto osiemdziesiąt stopni.

- Pewnie wydawałam ci się zimna. - Odwróciła wzrok, onieśmielona jego spojrzeniem. - Zwłaszcza po tamtym wieczorze.

- Przyznaję, że byłem zaintrygowany, ale doszedłem do wniosku, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Poza tym domyślałem się, że pod tą skorupą obojętności bije ciepłe, namiętne serce - i miałem rację.

Leżała zbyt oszołomiona, by pozbierać myśli.

- Szukałem i szukałem, aż znalazłem. - Jego głos był teraz cichy, a wpatrzone w nią oczy pociemniały z pożądania.

- Zrobiłbyś to dla mnie? Zrezygnowałbyś z Afryki i stacji w buszu?

- Z chęcią. Już postanowiłem: wracam do kraju. Kiedy byłem dzieckiem, brakowało mi ciepła rodzinnego, więc najwyższy czas to nadrobić. - Po chwili z błyskiem w oczach dodał: - Ale jest coś, o co chciałbym poprosić cię w zamian.

- Oczywiście. - Była nawet przygotowana obiecać, że kiedyś pojedzie z nim do Afryki.

- Nie sądzisz, że moglibyśmy wreszcie przestać gadać? Bo jeżeli tak dalej pójdzie, to będę w wielkim kłopotcie.

- Och, Jon! - szepnęła ze śmiechem, a potem, westchnąwszy głęboko, objęła go za szyję i znów przygarnęła do siebie.